

POCAHONTAS

PRAWDZIWA KSIĘZNICZKA



MIRAGE

Mari Hanes

Pocahontas

Prawdziwa księżniczka

Warszawa 1997

Przełożyła: Maria Czerwińska

Oficyna Wydawnicza "Vocatio"

Warszawa 1996 r.

Wstęp

Przed czterema wiekami w krainie zwanej Chesapeake (co oznacza miejsce pełne skorupiaków) żyło odważne dziecko, które poznaliśmy jako Pocahontas. Urodziła się w plemienu Indian amerykańskich Algonkinów. W czasach jej dzieciństwa z Anglii zaczęli napływać ludzie pragnący się osiedlić w Chesapeake, ziemi nazywanej przez nich Wirginią.

Ich przybycie na zawsze zmieniło życie Pocahontas i cały świat Algonkinów.

Dzięki szczegółowym listom i dziennikom pisany przez Anglików wiemy zadziwiająco dużo o tej dziewczynce. W książce tej starałam się pozostać wierna historii. Zmyślane części opowieści zostały wplecione w fakty w taki sposób, by stworzyć możliwie prawdziwy obraz tego, jak mogła żyć i zachowywać się księżniczka Algonkinów na początku siedemnastego wieku.

Z pewnością jednak nie uświadamiamy sobie, że autentyczna historia kryje w sobie jeszcze więcej przygód, świadczy o większej odwadze i ma daleko głębsze znaczenie. Taka, jaką historia ukazuje ją naprawdę.

Wiele napisano na temat przygód krótkiego życia Pocahontas, tak że o jej podróżach do Jamestown oraz do Anglii. Ta książka jednak mówi o najwspanialszej ze wszystkich wędrówek - podróży jej ducha.

Rozdział 1

Pasażer na gapę

1. Pasażer na gapę

Już nadchodzą! Chociaż mieli na nogach mokasyny i stąpali brzegiem rzeki lekko i cicho jak łanie, Pocahontas słyszała ich rytmiczne kroki.

Ukryła się pod derką z niedźwiedziej skóry na dnie czółna z kory brzozej, należącego do braci. Podciągnęła nogi jeszcze mocniej i zwinęła się w najmniejszą jak mogła, kulkę.

„Nie mogą mnie tu znaleźć - myślała. - Muszę wyruszyć z nimi w tę podróż.”

Podchodzili coraz bliżej. Nie słyszała, by padło choć jedno słowo. Wiedziała, że słowa nie były potrzebne. Pomiędzy tymi dwoma - Parahuntem, jej starszym bratem i bratem przyrodnim Tatacoopem, Zapalczywym - istniało pełne zrozumienie.

Słyszała odgłosy umieszczania w czółnie, tuż obok niej ostatnich rzeczy - łuku, strzał i włóczni, jak się domyślała.

Bracia zawsze trzymali je w zasięgu ręki.

Poczuła, że jej kryjówka zaczyna się ześlizgiwać, usłyszała chrzęst piasku poniżej swojego ucha - bracia spychali łódkę na rzekę.

Wstrzymała oddech. Czółno przechyliło się do przodu, gdy Parahunt zajął swe zwykłe miejsce. Następny kołyszący ruch. To Tatacoope siadał z tyłu, tuż przy jej kryjówce.

Ciszę poranka przerwał mocny głos Parahunta. Była to modlitwa, którą zawsze wypowiadał przy pierwszym uderzeniu wiosła, zwracając twarz w kierunku słońca.

- Dzięki ci Boże-Stwórco - mówił śpiewnie - za dar drzewa na to czółno, którym możemy płynąć po Twoim darze Wielkiej Rzeki.

Bracia wiosłowali rytmicznie.

W uszach Pocahontas pluskanie wody o łódkę brzmiało radosną melodią. Poprzez korę brzozy wciskał się orzeźwiający chłód wody. W Pocahontas, jak rozkoszne, musujące pęcherzyki, wzbierała radość - musiała zacisnąć usta, by nie zacząć chichotać. Jej plan się udał!

Płynęła z nimi.

Ale dokąd?

O tym Pocahontas nie miała pojęcia.

Wiedziała, że nie wybierali się wraz z innymi wojownikami na polowanie na potężnego wieloryba. To nie była odpowiednia pora roku. Poza tym, mimo całej swej odwagi, nie miała pewności czy chciałyby płynąć po wodach morza, zwanego przez jej ród Chesapeake, albo jeszcze dalej, na falach Wielkiego Szarego Oceanu (Ocean Atlantycki). Na czas długich wypraw na wieloryby, mężczyźni z jej wioski pozostawiali swe dumne czółna brzożowe. Wyruszeni w większych łodziach, wydrążonych w ogromnych pniach drzew, takich które mogły unieść wiele wspólnie wiosłujących, silnych ramion.

W ciągu swego krótkiego dziewięcioletniego życia Pocahontas słyszała wiele opowieści o polowaniach na wieloryby. Kiedyś podczas takiej wyprawy jej starszy brat dostał się pod straszliwe uderzenie wielorybiego ogona i już nie wrócił do domu.

Pocahontas wiedziała też, że Parahunt i Tatacoope nie podążali na wojnę plemienną.

Wyprawy wojenne zdarzały się częściej niż polowania na wieloryby, ponieważ jej ojciec był potężnym królem Algonkinów i sam siebie nazwał Powhatan - Niezwyciężony. Zwyciężył trzydzieści plemion i rządził teraz ponad dwustoma wioskami, więc jego lud zaznał niemało walki. Od wielu jednak księżyców w wiosce nie odbywały się tańce wojenne. Nie widziała też nigdzie barw wojennych w czasie przygotowań braci do podróży.

Nie ulegało też wątpliwości, iż tylko oni dwaj zostali wybrani na wyprawę. Podglądała ich z daleka na tajnej naradzie z ojcem. Twarze mieli poważne i mówili szeptem. Obserwowała również, jak pokrywali czubek włóczni błyszczącym metalem, nabytym za wysoką cenę od nieznanego handlarza z dalekiej północy.

Cóż to wszystko mogło oznaczać?

- Ojcie, czy mogę pojechać z braćmi? - zapytała.

Powhatan uniósł brwi i kategorycznie potrząsnął głową w geście odmowy. Nie padło nawet słowo wyjaśnienia. To jednak tylko wzmogło jej pragnienie, by wziąć udział w tej wyprawie.

Wkrótce łagodne kołysanie łódki uspiło ją. Pod ciężką skórą niedźwiedzia było jej przytulnie jak małej wiewiórcy w swym gnieździe w dziupli. Śniła o pięknie Wielkiej Rzeki, gdy prowadziła po niej swe czółno.

Płynęła poprzez cienisty zielony las aż do Chesapeake. Z Wielkiego Szarego Oceanu przyplłynął wieloryb, by się z nią spotkać i porozmawiać. Był oczywiście przyjacielski.

Z pewnością nie uderzyłby jej ogonem.

Nagle wszystko zaczęło się trząść. Tuż obok głowy słyszała stukot i skrzypienie. Z okrzykiem przerażenia usiadła i odrzuciła skórę niedźwiedzia. Woda rozpryskiwała jej się na twarzy. Świat był biały, mokry i wirujący.

Czółno właśnie pokonało obszar progów skalnych. Natychmiast opuścił ją strach spowodowany tak gwałtownym przebudzeniem się, ale zadrżała na myśl o reakcji braci na jej widok. Łódka szybko ześlizgnęła się na spokojniejszą wodę, podczas gdy na twarzach Parahunta i Tatacoope'a wzbierała burza.

Wciągnęli wiosła, by dać się unieść w kierunku wolniejszego prądu i patrzyli spode łba na pasażera na gapę.

- Pocahontas! - zagrzemiał Tatacoope. Złapał ją za ucho i pociągnął, aż krzyknęła. - Ty mała oszustko! Jesteś tak samo szybka, przebiegła i psotna jak ta mała wydra, którą trzymasz!

Chyba po powrocie do domu zabiję ją za podsuwanie ci takich pomysłów! - pociągnął ją jeszcze mocniej za ucho.

- Nie! - wrzasnęła, myśląc bardziej o swym ukochanym zwierzątku niż o bólu.

- Przestań! - rozkazał Parahunt. Tatacoope rozluźnił chwyt. Ale płomień hamowanego gniewu, jaki ujrzała w oczach Parahunta, był znacznie gorszy o bolesnego ciągnięcia jej za ucho przez Tatacoope'a.

- Wiesz, że ojciec zabronił ci jechać z nami! - Parahunt ciskał słowami w siostrę. Szarpnięciem chwycił wiosło.

- Tak, ale ja jestem bardzo odważna! - powiedziała. Chociaż coraz więcej łez pojawiało się w jej oczach.

- Wiem - odparł.

- Nie idziecie na wojnę - stwierdziła Pocahontas. - Widzę to.

- Nie - przyznał.

- I to nie jest sezon polowania na potężnego wieloryba.

- Nie.

- Czy wybieracie się na zwiady do naszych wrogów, Irokezów?

- Nie.

- Więc dlaczego nie mogę iść z wami? - błagała. Podniosła swój mały koszyk na prowiant wypełniony kukurydzą i suszonymi jagodami.

- Popatrz! Wzięłam własne jedzenie. Nie będę wam ciężarem.

Usta Parahunta prawie zaokrągliły się w uśmiechu, ale widziała, że postanowił być surowy. - Nie chodzi o jedzenie, moja mała siostrzyczko - powiedział po prostu. - Udajemy

się w podróż, która jest zadaniem dla mężczyzn, a nie dziecięcą zabawą. Nie potrafisz zrozumieć tej wyprawy ani jej celu.

- Możemy ją tu wysadzić - zaproponował Tatacoope. Ton jego głosu był okrutny.

Parahunt zastanowił się przez chwilę. - Nie, to za daleko, żeby szła sama w tych niebezpiecznych czasach. - Nie mówiąc nic więcej obrócił czółno i zaczął mozolnie wiosłować w górę rzeki. Wracali do Comoco, wioski wodza Powhatana.

Patrząc na silne ramiona braci walczących z prądem, Pocahontas westchnęła z rozczarowaniem. "To niesprawiedliwe" - myślała.

Dlaczego nie mogła wziąć udziału w tej podróży? Przecież sama pomagała budować to czółno.

Dbiała o nie tak samo jak oni. To ona siliła się, by wygiąć te wewnętrzne wręgi łódki, gotując gałęzie w gliniance wypełnionej wodą i gorącymi kamieniami, które sama przyniosła. Parahunt pozwolił jej nawet przyszyć niektóre starannie dobrane kawałki kory cienkimi plastrami z brzoź. Za pomocą kościanej igły jej własne palce przeciągały cienkie sznurki, zrobione z korzeni i kory wiązu, aby przyszyć plastry kory brzozowej. To jej dłonie wcierały żywicę sosnową w celu uszczelnienia szwów.

Pamiętała uśmiech na twarzy Parahunta: - Moja mała siostrzyczka pracuje tak ciężko, że część czółna należy do niej.

Zgodziła się z nim, oczywiście.

Przejrzysta rzeka uciekała pod łódką, kiedy płynęli z powrotem do domu. Pocahontas dostrzegła ciepłe promienie słońca przenikające wodę aż do ławicy pstrągów. Po obu stronach rzeki las tętnił życiem. Bezszelestnie ślizgające się czółno nie przeszkodziło bobrowi ani norce.

Dziewczynka zobaczyła też czerwonogłowe kaczki i niebieskie czaple, i gęsi krzyczące ponad ich głowami w swej drodze na północ. W tym spokojnym zachwyceniu prawie zapomniała o tym, że wraca do wioski, do swoich dziewczęcych obowiązków i do ojca.

- Ojciec na pewno zrozumie, dlaczego ukryłam się w łodzi - mówiła do siebie, wdzięczna, że w tej zakazanej podróży mogła przynajmniej dotrzeć tak daleko.

Ojciec był bardzo mądry, bo przeżył już prawie siedemdziesiąt lat. Tak, zrozumie.

- Czy rzeczywiście? - zaczęła się martwić.

Zbyt szybko znajomy dźwięk zapowiedział bliskość domu. Był to odgłos wodospadu na strumieniu wpadającym do rzeki tuż powyżej Comoco.

Kiedy pokonali zakręt, mogła już dojrzeć wysokie ogrodzenie z pni, jakie Powhatan wybudował wokół pięćdziesięciu wigwamów wioski. Widok ten obudził w niej dziwną obawę - uczucie, jakiego nigdy dotąd w niej nie wywoływał. Psy na nabrzeżu szczekały alarmująco.

Wtedy ich zobaczyła. Powhatan wyszedł na zewnątrz palisady, a obok niego stał Quiyow, szaman plemienia. Jego twarz była pomalowana na czarno i miał na sobie płaszcz ze skór łasic i węży. Działo się coś nader ważnego, bo inaczej nie byłoby go tu. Mieszkał poza wsią i Pocahontas nie widziała go od ostatniej ceremonii Tajemnego Kultu. Poczula jak żołądek ściska się jej ze strachu. Było tak zawsze, ilekroć go widziała, chociaż nigdy nie przemówił do niej choćby słowem.

Poza nimi dwoma na zewnątrz ogrodzenia nie było nikogo.

Bracia wyciągnęli czólną na plażę. Kiedy pomagali jej wysiąść, czuła, jak drżą jej kolana. Ze wzrokiem utkwionym w ziemię powoli podeszła do ojca.

Ramiona jej opadły.

- Córko, spójrz na mnie - rozkazał jej ojciec, gdy zatrzymała się przed nim. Jego głos brzmiał jak pomruk kuguara.”*

[*Kuguar - inaczej puma, amerykański drapieżnik z rodziny kotów, do 27m długości.]

Posłuchała. Zobaczyła jak góruje nad nią. Jej serce wypełniły po brzegi strach i szacunek dla potężnego wodza Powhatana.

Mówił powoli. - Matka nazwała cię Matoaka, Mała Figlarna. To ja dałem ci imię Pocahontas, Ulubiona Córka.

Pocahontas skinęła tylko nieznacznie głową, nie uśmiechając się. Dzisiaj w oczach ojca brakowało przychylności, a głos pozbawiony był jakiegokolwiek życzliwości.

- Kocham cię za twoje piękno - ciągnął. - Przepadam za tobą z powodu twojej odwagi i ducha.

Ale już nigdy więcej twój duch i wola nie mogą sprzeciwić się moim.

Przełknęła ślinę i zaczęła cicho: - Ale, ojciec...

- Cisza! - przerwał jej rozkazująco. - Mam osiemdziesięcioro siedmiu dzieci. Żadne spośród pozostałych nie ośmieliłoby się zrobić tego, co ty dziś uczyniłaś!

Czuła jak ciężąca jej w żołądku gula rośnie niby pięść, unosi się w kierunku gardła i zaczyna ją dusić. Jej oczy uciekły od straszliwego spojrzenia ojca. Tymczasem piorunujący wzrok Quiyowa był jeszcze bardziej przerażający.

Znów pochyliła głowę, wpatrując się w obute w mokasyny stopy braci, którzy stali cicho po obu jej stronach.

- Musisz pamiętać, kim jesteś - mówił dalej ojciec. - Jesteś księżniczką Pocahontas. Pewnego dnia zostaniesz szamanką i będziesz rządzić swą własną wioską. Dziś jednak postąpiłaś głupio. Zmartwiłaś i przestraszyłaś swą matkę Halewę, bo ona od razu domyśliła się co zrobiłaś i dokąd się udałaś.

Zapadła decyzja o twojej karze: nie dostaniesz żadnego pożywienia, dopóki bracia nie wrócą z podróży - ogłosił Powhatan. - Będziesz wykonywać tylko zadania przeznaczone dla najmniejszych dziewczynek, ponieważ zachowałaś się jak małe dziecko.

Pocahontas poczuła na policzkach palący rumieniec wstydu.

- Ponadto częścią kary będzie również to - ciągnął ojciec.

Podniosła wzrok. - Nikt nie może do ciebie się odezwać - ani tobie nie wolno mówić do nikogo, dopóki nie wrócą bracia.

Jej umysł tańczył w oszołomieniu, żalu i wyrzutach sumienia. Zauważyła jak Powhatan skinął na Parahunta i Tatacoope'a. Pośpiesznie odeszli. Gdzieś z tyłu, po raz drugi tego ranka, słyszała, choć nie widziała, spuszczenie ich czółna na rzekę.

Powhatan i szaman odwrócili się gniewnie i dumnie weszli do wioski, zostawiając ją samą.

Pocahontas zaczęła biec.

Pobiegła obok palisady w głąb lasu, a potem na trawiasty pagórek wznoszący się nad wodospadem. To było jej ulubione miejsce, gdzie mogła myśleć i być sama. Udało jej się tu dotrzeć, zanim upadła na ziemię i wybuchnęła szlochem.

Nigdy przedtem nie doświadczyła takiego gniewu i złości ze strony ojca. To było cierpkie i bardzo, bardzo gorzkie lekarstwo.

Rozdział 2

Kara

2. Kara

Kiedy Pocahontas obudziła się o wschodzie słońca, już burczało jej w brzuchu z głodu. Wstała i założyła fartuszek z sarniej skóry. To był jej codzienny strój, podobnie jak wszystkich dzieci z plemienia.

Popchnęła skórę zasłaniającą wejście do wigwamu. Mama przygotowywała jej ulubione śniadanie: smażonego pstrąga i placki kukurydziane. Halewa spojrzała znad otoczonego kamieniami paleniska, lecz jej wzrok nie spotkał oczu córki.

Czując się jak odszczepieniec, Pocahontas przeszła cicho obok ogniska i skierowała się do swojego ulubionego zakątka. Tam uklękła nad źródłem, by spryskać twarz lodowatą wodą.

Ze środka strumienia wyskoczył błyszczący futrzany łepiek.

Lśniące, srebrzyste ciało stworzonka zafalowało w jej kierunku, po czym wyslizgnęło się z wody i pospieszyło do jej boku. W czułym geście poznania szturchnęło zimnym noskiem w jej nogę i przewróciło się na grzbiet.

Podrapała je po brzuszku. - Dzień dobry, Mała Wydro - powiedziała dziewczynka, wdzięczna, że jest ktoś, do kogo może mówić. - Dzisiaj jesteś jedynym stworzeniem na świecie, które nie jest wściekłe na Pocahontas. A z mojego powodu Tatacoope jest zły nawet na ciebie. Groził, że cię zabije.

Mówi, że nauczyłam się twoich dróg. Może rzeczywiście tak jest - tak bardzo cię kocham!

W tym właśnie miejscu w jeden z zimowych dni, dziewczynka znalazła swoje zwierzątko. Było maleńką sierotką, zaledwie wielkości jej dłoni.

- Pozwól jej umrzeć - powiedział Tatacoope. - Wydry nie da się oswoić.

Pocahontas jednak często powracała do zwierzątko z posiekaną rybą, a nawet kawałkami mięsa sarniego i karmiła je. Już po kilku tygodniach samo żywiło się rakami

żyjącymi na piaszczystym dnie strumienia. Nigdy nie oddaliło się od jej ulubionego miejsca. Każdego ranka tu się z nią spotykało.

Mała Wydra wskoczyła z powrotem do wody. Wkrótce dziewczynka dołączyła do niej, ale tylko na krótką chwilę.

Wiedziała, że nadeszła pora stawienia czoła karze.

- Odplywaj, przyjacielu - wołała z brzegu, zbierając się do odejścia. - Pamiętaj, że obydwójce musimy być rozważni!

Po powrocie do wioski Pocahontas zbierała drewno na opał z dziewczynkami, które miały tylko po cztery, pięć lat przez cały ranek nie przestawała rozmyślać o przygodach, jakie bez niej przeżywali Parahunt i Tatacoope.

Kiedy słońce znajdowało się najwyżej nad horyzontem, przysła matka. Niosła śpiące niemowlę, zawinięte w miękkie skórki królika. Chłopczyk miał teraz cztery księżyce, lecz jeszcze go nie nazwano. Halewa bez słowa oddała dziecko w ręce córki.

Pocahontas wzięła braciszka do namiotu. Delikatnie ułożyła go w kołysce obok przykrytej futrem maty matki. Dwie pozostałe maty w wigwamie należały do Pocahontas i jej starszej siostry Kahnassy.

Wezłowie kołyski ozdobiono wiszącymi muszelkami morskimi.

Przypominały one Pocahontas jej pierwsze zapamiętane obrazy z własnego niemowlęstwa. Ona również leżała w tej kołysce i te same muszelki były pierwszymi zabawkami, jakimi bawiły się jej małe rączki.

Jako noworodek była tak maleńka, że ojciec obawiał się brać ją na ręce. Księżniczka urodziła się zbyt wcześnie.

Wszyscy myśleli, że umrze. Kiedy przeżyła i zaczęła rosnać, ojciec uznał to za wielki znak - znak dziecka o wielkim duchu.

Zaczął ją kochać.

- Wiedziałem już wtedy, że jesteś wyjątkowa pod względem urody i ducha - mówił do niej często. Powiadał, że wkrótce zauważył, iż uczy się najszybciej ze wszystkich dzieci. Rzeczywiście dawno temu Pocahontas pojęła, że ojciec i bracia wszystko wiedzą i rozumieją, i chętnie uczyła się od nich. Wiele razy widziała Powhatana przyglądającego się z dumą, jak po mistrzowsku opanowuje lekcje dotyczące lasu, rzeki i przyplływów morskich.

Pamiętała szczególnie jego aprobujący uśmiech, gdy przynosiła mu żołądzie, które sama ususzyła i zmeła, albo cukier zebrany z drzew klonu czy mleczny napój wyciśnięty z orzechów.

Zawsze potrafiła szybciej niż inni znaleźć słodkie ziemniaki czy dzikie karczochy. Przynosząc któreś z nich Powhatanowi mogła być pewna, że otoczy ją ramionami i z zadowoleniem wypowie jej imię: - Pocahontas!

Tak, była jego ulubioną córką.

Gdyby nie to, o ile sroższym gniewem mógłby zagrzmieć wczoraj, kiedy wróciła w czóźnie!

Pocahontas usłyszała, że jej nie nazwany braciszek wierci się i zaczyna płakać. Biorąc go na ręce, by go pokołysać, obiecała sobie w duchu, iż postara się jak najszybciej znaleźć karczoch dla ojca.

Dopiero następnego popołudnia mogła się oderwać od obowiązków i zacząć poszukiwania. Przez dwa dni nie miała w ustach nic poza wodą. Żołądek nie przestawał się skarżyć, ale nie to najbardziej jej doskwierało w karze. Jak wszystkie dzieci z wioski nauczyła się cierpliwie wytrzymywać głód i ból.

Czymś innym jednak było milczące ignorowanie jej przez wszystkich dokoła. Rozmawianie z innymi zawsze dawało Pocahontas poczucie, że jest przez nich kochana. Niemożność mówienia była jak brak miłości.

Teraz cieszyła się, że może się od wszystkich uwolnić. Na skraju bagna, pod poszyciem z paproci znalazła dwa miękkie karczochy. Chciała napęlić usta kęsem tej delikatności. W pobliżu dostrzegła dwie dojrzałe truskawki, które też ją kusily.

Nie ośmieliła się jednak ulec.

Surowy nakaz ojca jakiegokolwiek jedzenie uczynił dla niej tabu.

Obawiała się zła ze Świata Duchów, jakie sprowadziłaby na siebie, gdyby naruszyła zakaz.

Zebrała karczochy w fartuch i zaniósła do wioski. Weszła do „długiego domu” ojca. Nie było w nim nikogo. W wioskach zjednoczonych pod panowaniem Powhatana poszczególne rodziny zamieszkiwały w wigwamach, jednak w centralnej części osady znajdował się tak zwany ”długi dom”, należący do wodza, znacznie większy od wigwamu i przeznaczony na odbywanie narad plemiennych. Inne plemiona indiańskie, np. Irokezi, budowali wioski składające się wyłącznie z ”długich domów” - mogło ich być nawet kilkadziesiąt. Taki ”długi dom” dzielił się na szereg odrębnych pomieszczeń, każde z własnym ogniskiem, zamieszkiwanych przez poszczególne rodziny.

Dziewczynka złożyła swój dar pokoju w koszyku obok miejsca Powhatana. Będzie wiedział, kto go ofiarował.

Następnego ranka Halewa gestem wskazała, by córka poszła za nią. Pocahontas radośnie kroczyła za nią, bo matka śpiewała pieśń siewu. To był kolejny dzień siania kukurydzy i fasoli, a praca w polu zawsze cieszyła Pocahontas.

Kiedy dotarły na miejsce, Pocahontas pozwolono robić tylko to, co małym dziewczynkom: wrzucać po cztery ziarna kukurydzy albo dwie fasolki do każdego dołka na nasiona. Dołki były przygotowane przez kobiety i starsze dziewczęta bardzo starannie - odpowiedniej głębokości, w precyzyjnie odmierzonej odległości jeden od drugiego. Halewa wraz z innymi kobietami plotkowały podczas pracy. Siostra Pocahontas, Kahnessa i pozostałe dziewczęta śmiały się i opowiadały różne historie. Pocahontas milczała.

Na długo przedtem, nim słońce osiągnęło najwyższy punkt na niebie, przez wioskę przebiegł okrzyk.

- Parahunt wrócił!

Pocahontas od razu spojrzała na matkę. Halewa uśmiechnęła się. - Kara zakończona - powiedziała. Wyjęła z kieszeni placek kukurydziany. - Proszę, moja Matoaka. Jedz.

- Czy mogę pójść ich zobaczyć?

- zapytała pospiesznie Pocahontas.

- Tak, moje dziecko.

Placek kukurydziany nigdy nie był taki słodki, lecz dziewczynka przełknęła go w biegu.

Bracia właśnie wysiadali z czółna, kiedy dotarła na brzeg rzeki. Podbiegła bliżej.

Pierwszy zobaczył ją Tatacoope. Zmarszczył brwi, parsknął i półszepem nazwał ją Małą Wydrą. Parahunt pochwycił jej spojrzenie i uśmiechnął się.

Wyciągnął rękę i zwichrzył jej włosy.

Wódz Powhatan przeszedł przez bramę w palisadzie wraz ze strasznym Quiyowem u swego boku i kilkoma wojownikami. Ojciec zdawał się nie dostrzegać Pocahontas. Zastanawiała się, czy znalazł karczochy.

Parahunt zatrzymał się uroczyście przed mężczyznami.

Natychmiast rozpoczął swoją relację, podczas gdy coraz więcej mieszkańców wioski zbierało się wokół.

- To prawda, ojczel! Widziałem to na własne oczy. Trzy wielkie statki z żaglami tak ogromnymi jak chmury przybiły u wylotu Chesapeake. Biali ludzie zawitali na ziemi Powhatana!

Pocahontas słyszała jak kilku jej rodaków sapie i mruczy.

Wszyscy znali opowieści o białych nieznanym brodaczech, którzy odwiedzali inne plemiona.

Nawet dziadek, ojciec Powhatana, walczył z tymi obcymi, zwanymi Hiszpanami, na dalekim południu.

A oto teraz byli tutaj!

Parahunt mówił powoli i wyraźnie: - Ukryliśmy się w pobliżu, tak jak nam kazałeś - widząc wszystko, ale nie będąc zauważeni. Naliczyliśmy stu czterech bladokórych żołnierzy, noszących napierśniki i kapelusze z metalu. Mają wiele broni.

Pocahontas spostrzegła, że twarz jej ojca pociemniała.

- Musimy ich obserwować - rozkazał. - Musimy czuwać dniem i nocą. Pilnować i czekać.

Pocahontas przenosiła wzrok tam i z powrotem, z ojca na braci. Zaniepokoiło ją to, co dostrzegła. Ich twarze były napięte. Zdradzały zakłopotanie.

Czy to możliwe, by istniało coś, czego nie znali? Czy było czymś osobliwym, czego nie rozumieli?

Rozdział 3

Akrobacje na wzgórzu

3. Akrobacje na wzgórzu

Budząc się pewnego ranka późnym latem Pocahontas usłyszała matkę nucącą znaną jej melodię.

Odkąd pamiętała, pory roku i dni zawsze były znaczone i odmierzane piosenkami. Istniały pieśni siewu i zbiorów. Jej lud miał specjalne strofy na zbieranie mięczaków i łowienie ryb. Inaczej śpiewano w godzinie czyjejś śmierci i w chwili narodzin. Były też pieśni wojny i pokoju.

Piosenka tego dnia należała do jej ulubionych. Mama nuciła Pieśń Zbierania Jagód, a to oznaczało, że dziś było Święto Jagód.

- Dzisiaj święto! - wykrzyknęła Pocahontas. - I tym razem dostanę "dorosłą" sukienkę! - Halewa zaśmiała się.

Rozłożyła nową sukienkę na macie. - Tak - powiedziała. - Jest gotowa.

Pocahontas zachwycała się każdym jej skrawkiem. To był wspaniały strój, wykonany z wybielonej skóry jeleniej, którą jej matka namoczyła, naciągnęła i oskrobała rogiem łosia. Brzegi rękawów i spódnicy były obramowane czerwonym i żółtym paskiem farby, którą Halewa przygotowała z korzeni. Na przodzie i ramionach wisiały rzędy maleńkich, okrągłych muszelek. Do kompletu była nawet czapeczka, także z jeleniej skóry.

Pocahontas wyciągnęła rękę, by dotknąć muszelek.

- Najpierw - powiedziała mama - musisz się wykąpać i skończyć swoją poranną pracę.

W okamgnieniu Pocahontas wybiegła z wigwamu.

Poszła jak zwykle nad rzekę, gdzie większość dzieci z wioski również zażywała swej codziennej kąpieli. W niektóre zimowe poranki trzeba było wycinać otwory w lodzie, by mogły wskoczyć do wody na kilka chwil dreszczy. Jednak w gorące letnie dni przebywanie w rzece stanowiło samą przyjemność.

Pocahontas zanurkowała. Pod wodą wypatrywała swej Małej Wydry. Nadpłynęła z zamglonej, niebieskozielonej dali, zostawiając za sobą strumień bąbelków. Przypłynęła ze świstem wokół niej, po czym obie wypłynęły na powierzchnię, by zaczerpnąć powietrza.

- Dzień dobry, Mała Wydro! - prychnęła dziewczynka. - Szczęśliwego Święta Jagód!

Inne dzieci dołączyły chórem:

- Szczęśliwego Święta Jagód, Mała Wydro! One też lubiły to małe zwierzątko, jednak wydra pozwalała się dotykać tylko Pocahontas. Jedyne ona знаła dotyk tego aksamitnego ciała.

Zazwyczaj kąpiele w letnie poranki dawały okazję do wyścigów i innych zawodów pływackich. Dziś jednak dzieci szybko założyły z powrotem swoje skórzane fartuszki. Pocahontas także pospieszyła do swych porannych obowiązków.

Pierwszym zadaniem było sprawdzenie rybnych pułapek zastawianych przez braci.

Znajdowały się w chłodnym zielonym stawie w górze rzeki.

Upleciono je z gałęzi wierzbowych i miały zapadkę z zaostrzonych prętów, która zamykała otwór, gdy jakaś ryba wpłynęła do środka. Te koszyki - pułapki zawsze wprawiały Pocahontas w zdumienie i zdawały się jej jakimś cudem. Kiedy była młodsza, z zafascynowaniem przyglądała się Nantodzie, wioskowej wyplataczce koszyków, jak pracowała przez całą zimę nad nowymi dziełami.

- Potrafię zrobić własną pułapkę - pewnego dnia oznajmiła Nantodzie mała Pocahontas.

- Naprawdę? - odrzekła stara babcia. Tłumaczyła, że przodkowie przez długie lata uczyli ich jak najlepiej łapać ryby. Pocahontas jednak była pewna, że umiała zrobić to szybciej. Spędzała całe dnie na wyginaniu gałęzi i związywaniu korzeni, ale wszystko, co udało jej się zrobić, wyglądało na zwykłą płataninę. Ale się Nantoda śmiała!

Wtedy Pocahontas wpadła na inny pomysł. Pożyczyła od mamy koszyki na ziarno i przymocowała kilka ostrych patyków wokół obręczy. Umieściła je w rzece obok pułapek braci. Tej wiosny dzień po dniu leżała na brzegu rzeki, nieruchoma jak kłoda, wpatrując się w przezroczystą wodę. Jedna za drugą ryby wpływały i wypływały z jej koszyka, gdy jednak znalazły się w pułapkach braci, od razu były złapane. W końcu nawet księżniczka musiała przyznać, że poniosła porażkę. Nauczyła się, że niektórych rzeczy nie da się zrobić na skrót, a stary sposób jest bardzo często najlepszy.

Wtedy była tylko małą dziewczynką. Teraz jest duża i ma sukienkę z jeleniej skóry dla dużych dziewcząt.

W tym dniu Święta Jagód, u progu sezonu zbierania leśnych owoców, Bóg - Stwórca od początku się do niej uśmiechał. Dwie z wiklinowych pułapek braci zawierały duże błyszczące pstrągi! Pocahontas wyciągnęła pułapki i niosła skarb na kijku do mamy przygotowującej śniadanie.

Idąc rozmyślała o dziwnym szczepie bladych twarzy, żyjących gdzieś w dole rzeki.

Minęły już cztery księżycy od dnia, gdy ukryła się w czóźnie.

Od chwili gdy bracia oznajmili o ich przybyciu, mieszkańcy wioski wcale nie widzieli białych mężczyzn, jednak zwiadowcy wysyłani przez Powhatana mieli dużo do powiedzenia. Donieśli, że wielkie żaglowce odpłynęły, a obcy, którzy zostali, wybudowali schronienia za wysokim ogrodzeniem. Mówili, że blade twarze usiłują polować i łowić ryby, ale ich sposoby nie wydają się mądre.

Pocahontas pomyślała, że cokolwiek ci biali próbują robić, nigdy nie będą tak dobrze łapać ryb jak pułapki braci.

Po powrocie do wigwamu, Pocahontas wciągnęła na siebie sukienkę. Raz po raz mruczała podziękowanie dla mamy:

La-tee-nah! La-tee-nah!

- Jest troszkę za duża - odezwała się Halewa - ale wkrótce wyrośniesz jak kukurydza po deszczu.”*

[*Polskie powiedzenie mówi: wyrosnąć jak grzyby po deszczu.]

Pocahontas przyglądała się też świątecznej sukience siostry.

Kiedy Kahnessa podniosła koszyk na jagody i przekroczyła próg namiotu, uśmiechnęła się i wyszeptała do Pocahontas: - Nareszcie będziemy mogli z Remcoe’em wspólnie spędzić dzień.

- Pocahontas uważała Remcoe’a za miłego i przystojnego młodzieńca. Cieszyła się, że chciał poślubić Kahnessę.

Wszystkie dziewczęta z wioski miały na sobie najpiękniejsze stroje i stały obok wigwamów trzymając koszyki. Zwyczajem tego dnia było, by chłopak przespacerował się obok wigwamu dziewczyny, którą najbardziej podziwiał. Jeżeli darzyła go względami, pozwalała mu nieść swój koszyk i iść z nią na jagody.

Remcoe zbliżył się do Kahnessy i otworzył usta, by się odezwać.

Brakło mu jednak słów. Z trudem przełknął ślinę i spojrzał błagalnie. Kahnessa uśmiechnęła się na jego zmieszanie i razem odeszli.

- Dlaczego Remcoe nie potrafił się nawet odezwać do Kahnessy? - zapytała matkę Pocahontas. - Wszystkim innym ma zawsze dużo do powiedzenia.

Matka roześmiała się. - Och, to się często zdarza wojownikowi przy jego dziewczynie. Któregoś dnia Remcoe znajdzie właściwe słowa.

Niosąc swego Chłopca-bez-imienia, Halewa i Pocahontas szły w kierunku centralnego placu wioski, gdzie wszyscy gromadzili się wokół wodza. Muszelki na sukience księżniczki sprawiały, że każdemu jej krokowi towarzyszył grzechoczący dźwięk. - Gdziekolwiek pójdziesz, będziesz rozsiewać muzykę - odezwał się Powhatan, gdy ją zobaczył. - Piosenka Pocahontas!

Remcoe przyniósł dary dla rodziny, której członkiem miał nadzieję się stać. Wodzowi Powhatanowi ofiarował haczyki do ryb zrobione z orlich kości i szponów. Halewa dostała prawdziwy skarb - czerwone pióra kardynała.”* Pamiętał nawet o Pocahontas, dając jej nowy naszyjnik z muszelek.

[*Kardynał - ptak wróblowaty, leśno-parkowy długości około 237cm.]

Przed wszystkimi kobietami i dziećmi będzie jeszcze wiele dni zbierania jagód. W tym jednak, pierwszym dniu, dniu Święta Jagód, wszyscy maszerowali razem. Na czele kroczył Powhatan ze swoją rodziną. W przeciwieństwie do większości mężczyzn z plemienia, ojciec miał wiele żon, więc jego rodzina tworzyła długi orszak.

Kiedy wolno posuwająca się procesja dotarła wreszcie na Jagodową Łąkę, dano sygnał.

Dzieci rozbiegły się we wszystkich kierunkach poletka, by znaleźć najlepsze krzaczki.

Pocahontas była niska i drobna w porównaniu z rówieśnikami, ale mknęła jak wiatr, dorównując wielu chłopcom. Nie obyło się bez dobrotliwego poszturchiwania, lecz dziewczynka szybko zawładnęła krzaczkiem obsypanym dojrzałymi jagodami i zaczęła napępniać swój koszyk. Wkrótce dołączyli do niej Remcoe i Kahnessa. Tuż obok znajdowały się też przyjaciółki Pocahontas, Nanaon i Kewelah - śmiały się, przekomarzały i zbierały dojrzałe owoce.

Pocahontas kusiło, by wsunąć jagodę do ust, ale i ona, i inne dzieci znały zasadę. Nie wolno było jeść jagód, dopóki szczep nie powrócił tego dnia wieczorem do wioski i nie odtańczył Tańca Wdzięczności dla Stwórcy.

Nagle, tego szczęśliwego dnia, Pocahontas zasmuciła się wspomnieniem ubiegłorocznego Święta Jagód. Wtedy zbierał jagody razem z nią Lominas - jej kuzyn, przyjaciel i stały towarzysz, Lominas-którego-już-nie-ma.

Stał wtedy tuż koło niej, rozśmieszając ją swymi głupimi minami, i drocząc się z nią własną, śmieszoną wersją Pieśni Zbierania. Wspomnienie tych szczęśliwych chwil boleśniej ścisnęło jej serce. Żal po kuzynie przewyższał nawet strach przed tabu Szamana.

- Och, Kahnessa - wyszeptwała, by nikt inny nie usłyszał. - Tęsknię za Lominasem.

- Cicho, Pocahontas! - ostrzegła Kahnessa. - Wiesz, że nawet napomknienie jego imienia jest zabronione. Pst!

Pocahontas zacisnęła usta, kiedy siostra ciągnęła: - Pewnego dnia sama zostaniesz szamanką. To już postanowione.

Musisz przekonać samą siebie do rozumienia tabu. A także Tajemnego Kultu.

Pocahontas znowu poczuła w żołądku ucisk strachu.

- Poza tym - dodała Kahnessa - co się stało to się nie odstanie.

Pocahontas nadal zbierała jagody, plamiąc palce na niebiesko. Nie powiedziała nic więcej o Lominasie, lecz wspomnienie pozostało. Znała go tak dobrze. Nie mogłaby zhańbić jego pamięci, zapominając o nim zupełnie!

Kiedy wszystkie koszyki napełniły się, zbieracze zostali nagrodzeni za zachowanie każdej jagody. Na obchody święta przyniesiono wszystkie najlepsze potrawy. Był świeżo wędzony łosoś i placki kukurydziane osłodzone miodem, nie brakło pieczonych ptaków, słodkich ziemniaków i kukurydzy.

Po uczcie przyszła pora na gry, w których tylko zupełnie starzy i bardzo mali nie brali udziału. Bezzębna babcia pilnowała Chłopca-bez-imienia, aby Pocahontas i Halewa mogły się przyłączyć do zabawy. Były po tej samej stronie w grze w „podwójną piłkę”. W obu drużynach wszyscy mieli kije.

Używali ich do popychania lub odbijania piłki, zrobionej z dwóch okrągłych kamieni związanych razem skórzonym rzemieniem. Akcja toczyła się pomiędzy bramkami umieszczonymi na obu końcach pola. Pocahontas cieszyła się widząc, że Halewa jest wciąż tak szybka i zręczna jak jej córki.

W „podwójną piłkę” grały tylko kobiety i dzieci, mężczyźni oszczędzali siły na brutalną grę „lacrosse”*. Kiedy oni wyszli na boisko, rozległy się krzyki, urągania i jęki. W pewnej chwili Pocahontas zobaczyła Tatacoope’a pocierającego na głowie guz wielkości gęsiego jaja.

[*Lacrosse - gra podobna do hokeja na trawie; zamiast kijów używane są rakiety w kształcie laski z siatką na zgięciu; w grze biorą udział dwie drużyny dziesięcioosobowe.]

W miarę jak wilgotne popołudnie stawało się coraz gorętsze, Pocahontas zaczęła się pocić w swej sukni z jeleniej skóry. Skinęła na Nanoon i Kewelah. We trzy wydostały się z zatłoczonej łąki. Biegły przez leśny chłód, aż dotarły do miejsca, gdzie Pocahontas zdjęła swój królewski strój, zostając tylko w fartuszku, który miała pod spodem. Starannie powiesiła sukienkę i czapkę na gałęzi drzewa.

- Już niedługo będę dorosła - powiedziała do Nanoon. - Na dziś wystarczy tego królewskiego ubrania.

Wtedy dziewczynki zaczęły szaleć, ganiając jak rozbiegane sarny. Skakały po zboczach wzgórz i przebiegały przez odnogi rzeczne, chlapiąc na wszystkie strony i strasząc stworzenia przyzwyczajone do cienistej ciszy.

Zaczęły się bawić w grę zwaną „schowaj się przed myśliwym”.

Pocahontas była sarną. Kiedy „myśliwi” mieli zasłonięte oczy, zaczęła się cichutko oddalać.

Skradała się dalej i dalej w las, unosząc się na paluszkach, dokładnie tak, jak ją nauczył Parahunt.

Wyszła z lasu na szczyt trawiastego wzgórza. Usiadła i przez dłuższą chwilę nasłuchiwała. Nie było słyhać żadnego głosu ze strony przyjaciółek. Nie nadążyły za nią. Wygrała grę!

Trwała na zboczu zielonego wzgórza w swym cichym oczekiwaniu. Nagle, nie mogąc już dłużej wytrzymać wyzwania tego idealnego do zabawy wzgórza, rzuciła się w dół, przewracając się i koziołkując aż na sam dół. Tam podskoczyła i zaczęła ćwiczyć ulubioną figurę akrobatyczną - cztery gwiazdy z rzędu.

Zatrzymała się, by ochłonać.

Szczęście jednak tak ją przepelniało, że nie mogła ustać w miejscu. Trwało przecież ŚŚwięto Jagód, a ona uciekła „myśliwym”, i była księżniczką Pocahontas! Rzuciła się do robienia następnych gwiazd.

Trzasnęła gałąź i księżniczka wzdrygnęła się.

To, co zobaczyła, było straszne i dreszcz przebiegł jej po ciele.

Na szczycie wzgórza stało nie dzikie zwierzę i nawet nie wróg Irokez, lecz wysoki i bardzo blady mężczyzna. Podmuchy wiatru rozwiewały jego żółte włosy.

Twarz miał pokrytą włosami jak futrem. Nosił więcej ubrań niż bracia założyliby w zimie. A jego oczy były koloru nieba!

Spoglądał w dół na Pocahontas.

Ona zamarła z przerażenia, niezdolna poruszyć się ani nawet oddychać.

To musiał być jeden z tych białych żołnierzy! Czy zabije ją!? Czy zje? Któż może zgadnąć co myśli taki cudzoziemiec?

Nagle twarz mężczyzny rozjaśniła się w szerokim uśmiechu. Błękitne oczy zamigotały i roześmiał się w głos.

Dlaczego się śmiał? To przypominało prawdopodobną reakcję ojca lub braci, gdyby przyglądali się jej gwiazdom.

Wtedy nieznajomy zrobił coś nie do pomyślenia. Położył się na boku w trawie i przeturlał wzdłuż zbocza jak dziecko, dokładnie tak, jak przed chwilą zrobiła ona. Musiał ją widzieć!

Zatrzymał się tylko kilka kroków przed nią. Wstał, otrzepał ubranie rękami i znowu się do niej uśmiechnął.

Pocahontas zorientowała się, iż w odpowiedzi uśmiecha się do białego człowieka.

Nagle zdała sobie sprawę, że trzęsą się jej nogi. Księżniczka zebrała myśli. Musi iść. Zmusiła się, by się odwrócić i pobiec w kierunku miejsca, gdzie pozostawiła przyjaciółki.

Na skraju lasu odwróciła się.

Brodaty mężczyzna wciąż jeszcze się uśmiechał. Pocahontas podniosła rękę w prostym geście języka znaków: "Jestem przyjacielem." Czy błąd nieznajomy zrozumie?

Jej stopy wybijały równy rytm w drodze powrotnej do przyjaciółek i sukienki, z powrotem do bezpieczeństwa swego ludu.

Kiedy biegła, postanowiła nikomu nie mówić o tym, co widziała. Ojciec mógłby rozgniewać się jeszcze bardziej niż wtedy, gdy ukryła się w czóźnie. Nie, nie powie nikomu.

To będzie jej tajemnica. Mogło ją spotkać wielkie niebezpieczeństwo ze strony wroga. Zamiast tego odnalazła dar śmiechu.

Kim był ten nieznajomy, ten Żółtowłosa? Musiał być odważny, skoro zostawił swych żołnierzy i przewędrował przez las.

Czy jeszcze go kiedyś zobaczy?

Rozdział 4

Zimowe ogniska

4. Zimowe ogniska

Śnieg topniał szerokim pasem wokół rosnącego ogniska.

Pocahontas dorzuciła gałęzi do strzelających płomieni, a potem cofnęła się od gorąca.

Wciąż trzymała kij. Wskazywała nim. - Dokładnie tam, Nanon - powiedziała do przyjaciółki. - Włóż tam kilka.

Nanon sięgnęła za siebie do stosu zimnych, poczerniałych kamieni. Zebrała trzy w zagięcie lewej ręki i postąpiła w kierunku ognia. Z zamachem od dołu wycelowała w punkt wskazywany przez Pocahontas.

Jeden za drugim kamienie łądowały z łoskotem w szalejących czerwonych językach.

Pocahontas podniosła wzrok.

Dzisiaj dym unoszący się ponad głowami był tego samego koloru, co zadrzewione szczyty gór, które widziała dokoła. Właśnie wczoraj jej lud przybył do zimowego obozu łowieckiego tu, w Górach Błękitnej Mgły (góry Alegheny). Nadciągnęli też Algonkinowie z innych wiosek.

Tylko starcy i matki z niemowlętami pozostali w domach.

Jutro, przed wschodem słońca ponad setka mężczyzn z tych wiosek wyjdzie razem na pierwszy dzień polowania. Każdy ma dziś do wykonania jakąś pracę, związaną z przygotowaniem myśliwych.

- Więcej kamieni, Nanon.

Tutaj. - Pocahontas znów pokazywała kijem. Nanon była o dwa lata młodsza od Pocahontas i ta uczyła ją nadzorowania ognia grzejącego kamienie do kąpieli parowej. Zaledwie o dwadzieścia kroków od ogniska stała łaźnia pokryta korą. Na podłogę tej dużej chaty wrzucało się rozgrzane w ogniu kamienie i polewało wodą. Kilku mężczyzn siedziało w tej gorącej parze, następnie wybiegali z łaźni i wskakiwali w zaspę śnieżną albo rzeczkę przepływającą przez obóz łowiecki. Potem moczyli się w wodzie z paprociami, aby ich ciała nabrały przed polowaniem leśnego zapachu.

Pocahontas uznała, że ogień jest wystarczająco duży i gorący, i grzeje się w nim już mnóstwo kamieni. Cofnęła się od ogniska w kierunku łaźni, a Nanon poszła nazbierać więcej gałęzi.

Z wnętrza łaźni Pocahontas słyszała gruby głos, którego nie rozpoznawała. To musiał być wojownik z innej wioski.

Dziewczynka wstrzymała oddech, gdy usłyszała, o czym mówił.

Podeszła bliżej.

- Blade twarze miały ciężkie lato, a teraz mają jeszcze gorszą zimę. Są chorzy i głodni.

Mówili nam, że chcą wymieniać się na kukurydzę.

Następny głos, jaki usłyszała, należał do Tatacoope'a: - Może teraz nadeszła pora, by jeszcze raz ich zaatakować, gdy tylko skończymy polowanie. Może tym razem powinno pójść wielu z nas, nie tylko wy, wojownicy z Paspeg.

- Nie - odparł pierwszy głos.

- Wciąż noszą "grzmiące kije" i użyją ich znów jak już to zrobili zabijając niektórych z nas. Mają też ogromne "grzmiące kije", które strzegą ich wioski.

Są już jednak słabi jak dzieci.

Od początku okazali się nierozsądni i głupi, budując swoją osadę na nizinie. Zniszczy ich gorączka bagienna i sztormy oceanu. My nie musimy walczyć.

Możemy poczekać.

Mężczyźni zamilkli. Mróz przeszył Pocahontas. Powróciła do ognia. Zastanawiała się czy Żółtowołosy jeszcze żyje, po tylu księżycach, jakie minęły od czasu, gdy zobaczyła go turlającego się po wzgórzu.

Kiedy tego wieczoru zapadły ciemności, Pocahontas i Nanon siedziały w pobliżu innego ogniska, które trzaskało w środku "długiego domu" obozu łowieckiego. Dziewczynki były razem zawinięte w skórę niedźwiedzia. Pomieszczenie było wypełnione ludźmi, a powietrze zamglone od dymu ogniska i kilku fajek, które palili wojownicy.

Dwaj Indianie za paleniskiem zaczęli już wybijać miarowy dudniący rytm. Za nimi na stercie futer siedział Powhatan, otoczony większością swych żon.

Halewy z nim nie było.

Pocahontas zobaczyła matkę stojącą w pobliżu wejścia, w odległym końcu domu. W przyćmionym świetle Pocahontas nie mogła dostrzec wyrazu jej twarzy.

Właśnie wtedy wszedł Quiyow.

Ściśnięty tłum usuwał mu się z drogi w miarę jak kroczył przez izbę. Zajął swe miejsce obok wodza i patrzył przed siebie jakby w transie. Pocahontas zastanawiała się, czy

tego wieczoru zamierzał zaprezentować jakąś czarną magię. Z zadowoleniem odwróciła się od niego, by spojrzeć na starego Macombę, który właśnie usadowił się przed ogniem, by rozpocząć noc opowieści. Był ulubionym gawędziarzem jej szczepu.

Bębny wciąż waliły, kiedy Macomba zaczął śpiewnie mówić.

Do wybijania rytmu dołączyło kilka grzechotek.

Macomba zaczął od wychwalania potężnego wodza Powhatan.

Opowiadał o bitwach, w których król wiódł swych wojowników do zwycięstwa.

To on zjednoczył Algonkinów swymi potężnymi rządami.

Zdobywał wioskę za wioską.

Pieśń długo się ciągnęła, wymieniając każde plemię i wioskę, które pokonał Powhatan.

Pocahontas dobrze znała tę historię, ale zawsze na nowo się nią cieszyła. Pochylała się do przodu i nadstawiała uszu, by usłyszeć każde słowo. Kiedy skończyła się Pieśń Podboju, zgromadzeni przyjęli ją szmerem aprobaty, a wódz Powhatan patrzył dumnie.

Następna opowieść Macomby była Historią Ziemi. Przedstawiał czasy, kiedy góry zionęły ogniem i dymem. Mówił o tym, jak kiedyś ludzie polowali na stworzenia znacznie większe, bardziej dzikie i niebezpieczne niż teraz. Śpiewał o Dalekiej Ziemi, do której zawędrowali ludzie.

Opowiadał o Wielkim Potopie, który zalał ludzi i zwierzęta, i na zawsze wyznaczył granice lądów i mórz.

Pocahontas mocniej się otuliła skórą niedźwiedzią. Czuła się jakby częścią starożytnego świata. Zapragnęła wybrać się tam dzisiaj w podróż w swoich snach.

Potem Macomba opowiedział najbardziej przez wszystkich lubianą historię, która rozśmieszyła Pocahontas i Nanon. Była o głupiej wiewiórce, która ciężko pracowała, by zebrać zapasy orzechów, a potem zapomniała, gdzie je ukryła. Tego typu przypowieści mogły się ciągnąć w nieskończoność i na to miała nadzieję Pocahontas. Jednak śpiew przygasł zbyt szybko.

Powstał Quiyow i stanął przed ogniskiem. Macomba usunął się.

Pocahontas pomyślała, że szaman wygląda starzej niż staro. Jego pomarszczona twarz nie przypominała starożytnego świata jak twarz Macomby.

Starość Quiyowa była mroczna i przerażająca.

Blask ogniska stał się teraz przyćmiony. Bębny wybijały wolniejsze tempo.

Quiyow zamknął oczy.

Przechylił głowę do tyłu i otworzył usta. Wydobyło się z nich wysokie zawodzenie, raniące uszy Pocahontas.

W przeciwieństwie do Macomby, który siedział nieruchomo, kiedy śpiewał, Quiyow kołysał się z boku na bok. Ponad głową potrząsał wydrążoną maczugą z grzechoczącymi kamykami w środku.

Quiyow przypomniał wszystkim, że świat stworzył Ahone, Bóg-Stwórca, który jest dobry.

Jednak teraz światem rządził Okewas, Bóg Wojny, znany ze swego okrucieństwa i gniewu.

Każdy musi zadowalać Okewasa i dogadzać mu, śpiewał szaman. Bóg Wojny jest potężny. Trzeba być mu we wszystkim posłusznym.

Należy pieczołowicie dbać o oddawanie mu czci. Za nim powinno się podążać w bitwie.

Bóg Wojny musi dostawać ofiary, których żąda.

Pocahontas zauważyła, że Nanoon trzęsie się pod skórą niedźwiedzią. Ona sama też nie potrafiła powstrzymać dreszczu grozy.

Spojrzała na zgromadzonych ludzi. Halewa właśnie wychodziła.

Kiedy Quiyow skończył, Pocahontas wysunęła się spod skóry i zaczęła iść przez zatłoczone pomieszczenie. Gdy przestępowała próg, usłyszała jak Macomba zaczyna Pieśń Pamięci na cześć bojowników, którzy zginęli w walce przeciw Irokezom i - potężnemu Huronowi.

Na zewnątrz Pocahontas zobaczyła matkę na pokrytej śniegiem pochyłości powyżej „długiego domu”. Podeszła bliżej. Halewa patrzyła w gwiazdy i Pocahontas dojrzała w jej oczach łzy. Otoczyła matkę ramieniem. Wiedziała, że Halewa myśli o swych synach, którzy zostali zabici w bitwie. W milczeniu słuchały Pieśni Pamięci docierającej z „długiego domu”.

W końcu matka przemówiła. - Nasz Bóg Wojny nie jest bogiem, który troszczy się o serca kobiet - wyszeptała. - Oddawana mu cześć jest bolesna i pusta.

Pocahontas od razu pomyślała o Lominasie i ofiarach, których żądał Okewas w Tajemnym Kulcie.

Halewa też musiała o nich myśleć. Jednak z pewnością nigdy nie odważy się o tym powiedzieć.

Pocahontas przytuliła się do matki. Przez długą chwilę razem patrzyły na gwiazdy.

Potem poszły po skrzypiącym śniegu do chaty, w której miały spać. - Nie śnij o Tajemnym Kulcie - powiedziała Halewa. - Śnij o opowieściach starego Macomby.

- Dobrze, mamó - obiecała Pocahontas.

Rozdział 5

Więzień

5. Więzień

Wczesnym rankiem pierwszego dnia po powrocie z obozu łowieckiego Pocahontas wracała z kilkoma pstrągami z wiklinowych pułapek. Na szlaku do Comoco leżało długie białe pióro od razu przystanęła, by je podnieść. Białe Pióro było jej tajemnym imieniem, imieniem duchowym. Zniosła do Boga-Stwórcy podziękowania za ten dar i zastanawiała się, jakiemu szczególnemu celowi może on posłużyć.

Kiedy zbliżyła się do wioski, spostrzegła ciasny krąg dzieci zgromadzonych wokół ceremonialnego masztu na centralnym placu wioski.

Niektóre z nich skakały pospieszyła, by zobaczyć, co wzbudziło takie zainteresowanie.

Kiedy podeszła, ogarnął ją niepokój i lęk. W środku siedział Quiyow, skupiając na sobie uwagę wszystkich.

Przetykał żywego węża przez otwór w płątku lewego ucha. Jego ciało przyszpilił orlimi kośćmi po obu stronach ucha, by utrzymać na miejscu wijące się stworzenie.

Sięgnął do torby i wyciągnął drugiego węża. Tego przewlókł przez prawe ucho.

Pocahontas wiedziała, że te kolczyki z węży mogą oznaczać tylko jedno: szaman przyzywał najpotężniejsze magiczne moce.

Bez wątpienia przygotowywał się, by rzucić komuś wyzwanie.

Dziewczynka powiedziała sobie, że nie powinna się odwracać od tego, co robi Quiyow.

Ostatecznie kiedyś sama zostanie szamanką. Modliła się do Boga-Stwórcy, by uczynił ją bardziej wyczuloną i otwartą na sprawy duchowe i nadprzyrodzone.

Pocahontas spostrzegła przebiegającego obok Tatacoope'a. Podbiegła do niego.

- Co się dzieje? - Zapytała.

Zatrzymał się i wysunął podbródek i dolną wargę, co miało świadczyć o dumie z tej szalenie ważnej informacji, jaką posiada. - Przyprawdzą go tutaj - powiedział. - Dzisiaj wieczorem!

- Kogo tutaj przyprawdzą?

- Kogo? No, białego żołnierza, którego złapano.

Miała świadomość, że jej twarz zdradza, jak desperacko pragnie usłyszeć coś więcej. Wiedziała też, że jej brat będzie bardzo zadowolony, zostawiając ją w niepewności. Zanim pospieszył dalej, podniósł brwi i dodał: - A na szyi więzień nosi wirującą strzałę. To potężna siła magiczna! - Ot i wszystko, czym zechciał się podzielić. Poszedł do "długiego domu".

Przez resztę dnia Tatacoope nie chciał mieć z nią nic więcej do czynienia. Nawet Parahunt zbywał jej pytania. Ale o zachodzie słońca od kilku kobiet udało jej się usłyszeć plotki:

Więzień był wodzem białych. Wraz z innymi sześcioma bladymi twarzami zawędrowali na ziemię Pamunkejów, a ci zabili czy przegnali pozostałych sześciu.

Biały wódz miał "grzmiący kij" i zabił trzech wojowników, zanim go złapano. Pamunkejowie zabrali go do brata jej ojca, wodza Opecha z plemienia Paspegów. A dziś wódz Opech osobiście przyprawdzi więźnia tutaj.

Kiedy niebo pociemniało, grzmiący dźwięk bębnow ogłosił naradę w "długim domu". Wezwani zostali wszyscy ważniejsi członkowie plemienia. Pocahontas szybko ubrała się w swój strój z jeleniej skórki. Na wierzch założyła pelerynę z białych piór, opadającą z ramion aż do mokasynów. Była za mała na takie zebranie, jednak jako ulubiona córka wodza Powhatan mogła przekroczyć próg "długiego domu" bez sprzeciwu ze strony groźnego strażnika, strzegącego wejścia.

Szła w głąb zadymionego pomieszczenia, prawie nie zauważona przez mruczący tłum.

Pomyślała, że musiało się tu zebrać ponad dwustu pomalowanych wojowników, ustawionych w rzędach. Był też szereg pełnych godności kobiet w długich pelerynach z piór, podobnych do jej okrycia. Znalazła miejsce pomiędzy matką Halewą a Oposso, siostrą ojca, która rządziła własną wioską w Appamatucks.

Tylko wódz Powhatan siedział.

Tron w pobliżu paleniska stanowiły pnie, pokryte futrami szopów i lisów ze zwisającymi ogonami. Ojciec Pocahontas założył koronę z orlich piór.

Jego ulubione żony stały najbliżej, wszystkie w najpiękniejszych koralach i perłach. W pobliżu byli także Parahunt i Tatacoope.

Walenie w bębny ustało.

Wszyscy w milczeniu przyglądali się, jak wódz Opech z plemienia Paspégów wkracza do pomieszczenia, prowadząc za sobą strzeżonego przez wojowników białego człowieka.

Pocahontas westchnęła, gdy ujrzała twarz więźnia.

Błyskawicznie rozpoznała żółte włosy i brodę. I nawet tu, w ciemnym pomieszczeniu, w środku nocy, jego oczy były koloru nieba w samo południe.

Został przyprowadzony w pobliże tronu. Pocahontas uznała, że okazywał spokój i odwagę, kiedy spojrzał na ojca.

Wódz Powhatan skinął i wszyscy usiedli. Oposso wystąpił i zaproponował Żółtowlósemu miseczkę wody do mycia i pióra jako ręcznik. Na początku miała być uczta, na którą składały się jeleń, bażant i indyk. Każdy gość musiał być nakarmiony, czy to wróg, czy przyjaciel.

Pocahontas zauważyła, że Żółtowlósy wydawał się zbyt zmęczony, by wziąć choćby kęs.

Ona sama - ledwie mogła przelknąć. Nie potrafiła oderwać oczu od twarzy białego wodza.

Zobaczyła coś okrągłego, zrobionego z metalu, co wisiało na rzemyku wokół jego szyi.

Kiedy skończono posiłek, postawiono więźnia na nogi.

Rozpoczęło się walenie w bębny.

Z cienia w rogu "długiego domu" doszło zawodzenie Quiyowa.

Torował sobie drogę na przód, aż zaczął tańczyć wokół pojmanego.

Miał nakrycie głowy ze skór grzechotników i wypchanych łasiczek. Ogony łasiczek były związane i sterczały na czubku jego głowy. Wijące się węże wciąż jeszcze były w jego uszach. Ponad głową potrząsał swą maczugą-grzechotką.

W trakcie tańca Quiyow wrzucał do paleniska garści zmielonej mąki kukurydzianej i sproszkowanego tytoniu, co wywoływało trzaskanie i skwierczenie ognia.

Zawodzenie ucichło, a bębny zakończyły głośnym akcentem.

Quiyow podszedł do tronu Powhatana i stanął u jego boku.

Wystąpił wódz Opech.

Pocahontas zauważyła, że zanim odezwał się do króla Powhatana, patrzył na szamana.
- Ten biały człowiek został złapany na pogwałceniu prawa na terenach Pamunkejów - powiedział. - Polował tam bez pozwolenia.

Zabił trzech z naszych braci za pomocą swego "grzmiącego kija".

To prawda, że nosi magiczną strzałę, która wiruje. Ta magia jednak nie ma mocy. Obserwowałem tego mężczyznę. Męczy się, tak jak my, odczuwa głód, krwawi.

Sądzę zatem, że powinniśmy zabić tego białego wodza na znak ostrzeżenia dla wszystkich innych białych, którzy przybyli na nasze tereny.

Sala wybuchła okrzykami wojowników. W końcu jednak wołania ustały, kiedy biały wódz uniósł dłonie. Chciał przemówić.

Pocahontas sądziła, że to bezcelowe. Słyszała przecież tego dnia, że obcy mówią jakimś paplającym językiem, którego w ogóle nie da się zrozumieć.

- Wodzu Powhatanie, nazywam się John Smith. - Pocahontas była zszokowana. On mówił w języku Algonkinów.

- Wiem, że jesteś potężnym wodzem. - Mówił z pewnym wahaniem i zastanowieniem, trochę niezdarnie, lecz Pocahontas bez trudu go rozumiała. - Podróżowałem po odległych krainach. Odwiedzałem wiele plemion ludzkich. Nigdy nie spotkałem tak wspaniałego i mądrego szczepu jak lud króla Powhatana. Dlatego właśnie nauczyłem się waszego języka.

Kiedy jednak wyszedłem na polowanie, nie mogłem wiedzieć, po czyjej ziemi stąпам. Zamierzałem upolować jelenia.

Nasi ludzie są głodni. Nie potrafią łowić ryb tak dobrze jak wy.

Ta uwaga wywołała chichot i potakiwanie wielu głów.

- To prawda - ciągnął - że moim "grzmiącym kijem" odebrałem życie trzem Pamunkejom. Stało się to jednak dopiero po tym, jak zabili moich ludzi. Nie chcę wojny z potężnym ludem wodza Powhatana. Pragnę z wami handlować.

Wziął do ręki metalowy krążek, który wisiał na jego szyi, i wysunął do przodu. - W mojej wiosce mam wiele cudownych rzeczy na sprzedaż, jak ta wirująca strzałka. Mam miedź. I mnóstwo paciorków. Chcę tylko prowadzić z wami handel.

Pocahontas wpatrywała się w twarz białego wodza. Wiedziała z całą pewnością, że John Smith nie jest złym człowiekiem. Jej ojciec na pewno się o tym przekona.

Quiyow jednak wykonał ostry ruch swoją grzechoczącą maczugą i wydał przerażający jęk. - Biały wódz musi umrzeć! - krzyczał. - Na cześć Okewasa!

Tego chce Bóg Wojny!

Wojownicy ponownie wydali okrzyk. Raz jeszcze Quiyow skoczył przed tron, by zatańczyć wokół więźnia. Bębny znowu zaczęły walić. Szybciej i szybciej, coraz szybciej wirował szaman, aż skończył krzykiem przenikającym duszę na wskroś.

Wojownicy nie przestawali wrzeszczeć i potrząsać pięściami. Wszyscy powstali.

Wódz Opech wraz z dwoma innymi mężczyznami wytoczyli z rogu okrągły granitowy kamień i pozwolili, by upadł przed tronem. Wtedy inni wojownicy otoczyli białego wodza i zaciągnęli go do kamienia.

Tatacoope torował drogę.

Pocahontas widziała już wcześniej podobną scenę. Jęknęła cicho na myśl o tym, co ma nastąpić. Miała ochotę płakać, chciała krzyknąć, ale rozumiała, że to na nic się nie zda w tym hałaśliwym oblężeniu.

Ręce Tatacoope'a przycisnęły ramiona więźnia, zmuszając jego głowę do pochylecia się w kierunku kamienia. Inni wojownicy unieśli maczugi.

Pocahontas nie mogła dłużej wytrzymać. Nie myśląc, nie uprzedzając, wybiegła i w jednej chwili znalazła się przy kamieniu. Ujęła głowę białego człowieka w swoje dłonie i położyła na niej swoją własną.

- Nie!!!! - wykrzyknęła.

Zacisnęła oczy i wstrzymała oddech.

Cały hałas wokół niej natychmiast ucichł. W dziwnej nagłej ciszy Pocahontas uniosła głowę. Zobaczyła Tatacoope'a i pozostałych wojowników odsuwających się z zaskoczeniem.

Powoli spojrzała w tył, na matkę. Halewa z wyrazem przerażenia w oczach mocno przyciskała ręce do ust.

Pocahontas podniosła wzrok.

Czy teraz umrze wraz z nieznanym? Ojciec uniół rękę, dając znak. Parahunt podszedł bliżej i pochylił się, pomagając wstać Pocahontas i białemu mężczyźnie. Przez moment popatrzyła w twarz białego człowieka i przekonała się, że ją rozpoznał. Parahunt powiodł więźnia w kierunku wyjścia.

Pocahontas raz jeszcze spojrzała w stronę tronu i oczy jej napotkały pełen wściekłości, piorunujący wzrok starego Quiyowa. Zacisnął usta i zmrużył oczy. Potem dumnym krokiem wyszedł za Parahuntem.

Pocahontas nie mogła pozbierać myśli. Co zrobiła? Co powie ojciec?

Wpatrywał się w nią, jednak nie z furją. Widziała, że był głęboko zamyślony. W końcu przemówił bardzo uroczystym tonem, jaki słyszała jedynie na sądach plemiennych.

- Matoaka - powiedział - zażądałaś przywileju księżniczki. - Dopiero wtedy umysł Pocahontas przywołał z pamięci rzadki zwyczaj wśród jej ludu: raz w życiu księżniczka mogła poprosić o uwolnienie kogoś skazanego na śmierć.

Mężczyzna, do którego życia rościła sobie prawo, stawał się jej starszym bratem.

Przypomnienie sobie tego spowodowało jeszcze szybsze wirowanie w jej umyśle.

Czoło ojca było zmarszczone.

Głos stał się teraz cichy i mniej oficjalny. - To wielka tajemnica - powiedział do niej - że wykorzystyłaś ten przywilej dla nieznajomego, którego nigdy nie widziałaś na oczy. - Potrzęsnał głową.

Potem podniósł głowę i wyciągnął rękę ponad zgromadzeniem. Zakończył zebranie głośnym obwieszczeniem:

- Więzień John Smith będzie żyć!

Rozdział 6

Przyjaciel

6. Przyjaciel

Tej nocy, jeszcze długo po powrocie z "długiego domu" do wigwamu Pocahontas nie spała.

Siedziała wyprostowana na macie, wpatrując się w ciemność.

Wsluchiwała się. W ciszy poszukiwała mądrości i zrozumienia, tak jak ją nauczono.

Wioska szybko ucichła. Nie była długą nocą dzikich tańców, jakby się stało, gdyby John SMith został zabity, by członkowie szczepu mogli się przypodobać Okewasowi.

Pocahontas odważyła się przeciwstawić swego ducha żądzy okewasa i woli szamana. Bez wątpienia tego wieczoru Quiyow kipiał z wściekłości. Powhatan nie postąpił według jego słów, lecz okazał za to większy szacunek dla prośby małej dziewczynki. Pocahontas czuła znów rosnący w sercu strach.

Niewątpliwie zyskała dziś wroga-wroga, który będzie chciał zemsty.

Była niebezpiecznie śmiała, wręcz zuchwała. Nie żałowała jednak tego, co zrobiła.

Prawdopodobnie Pocahontas postąpi jeszcze wielokrotnie w sposób, który nie spodoba się staremu Quiyowowi. Przecież niebieskooki był teraz jej starszym bratem. Ponośla za niego odpowiedzialność. Skoro stał się członkiem jej plemienia, będzie potrzebował nauczyć się jego dróg.

Wreszcie jej serce uspokoiło się. Zamknęła oczy i usnęła.

Rano, po kąpieli z Małą Wydrą w zimnej rzece, dziewczynka wróciła do wigwamu. Ze skrzyni ze swoimi rzeczami wydobyla białe pióro, które znalazła poprzedniego dnia. Odszukała Parahunta i poprosiła, by zaniósł je bladej twarzy w podarunku. Miała nadzieję, iż przyjmie je jako propozycję pomocy i przyjaźni.

Wkrótce Parahunt powrócił i stanął przed nią uroczyście. - Księżniczko Pocahontas - ogłosił - przynoszę ci wiadomość: „Poproś księżniczkę, by przyszła do mnie, mam dla niej błękitne paciorki”. Oto co mówi John Smith. - Wtedy Parahunt rozluźnił się. Potargał jej włosy i uśmiechnął się. - Choć, siostrzyczko, zaprowadzę cię do niego.

Kiedy szli razem, Parahunt powiedział: Czy wiesz, że stałaś się powodem plotek i sprzeczek w całej wiosce? Wszyscy mnie pytają: Dlaczego księżniczka chciała uratować Brodacza? I co to wszystko znaczy? Czy to jest znakiem czegoś dobrego, co się wydarzy, czy może złego? A na ich wszystkie pytania muszę dawać tę samą odpowiedź: Nie wiem.

Pocahontas uśmiechnęła się i potrząsnęła głową. Ona także nie wiedziała. Modliła się jednak tego ranka, prosząc, by potrafiła stać się silniejsza duchem i robić to, co będzie konieczne.

Na skraju wioski stał oddzielony wigwam dla gości plemienia. Parahunt podszedł do niego i przestąpił próg.

Pocahontas podążyła za nim.

Biały wódz wstał i ujął jej obie ręce w swoje. Pocahontas ucieszyła się, widząc, że wygląda na wypoczętego i zdrowego - zupełnie inaczej niż poprzedniego wieczoru.

- Nay-hat-nah - powiedział powoli w języku algonkińskim. - Jestem twoim przyjacielem. - Uniósł ręce w geście przyjaźni.

- Nay-hat-nah - powtórzyła. - Jestem twoim przyjacielem, Starszy Bracie.

Wskazała, by wyszedł z nią na zewnątrz. Chciała mu pokazać Comoco.

Kiedy szli, wciąż wskazywała na to, czy na tamto i podawała algonkińską nazwę. Zaprowadziła go także na spotkanie z matką, Kahnessą i Chłopcem-bez-imienia.

Gdy mijali "długi dom", biały wódz nagle się zatrzymał.

Widziała, jak wpatruje się w setki skalpów wiszących na płocie wokół miejsca spotkań.

Była wdzięczna ciemnościom, że nie mógł ich zobaczyć ostatniej nocy, kiedy ważył się jego los.

Miała nadzieję, iż teraz go nie przeraziły. Wzięła go za rękę i delikatnie pociągnęła w innym kierunku.

Biały człowiek miał mnóstwo pytań. - Parahunt mówił mi, że jesteś moją siostrą - odezwał się, kiedy zmierzali do rzeki - oraz że wódz Powhatan jest twoim ojcem. Powiedział też, iż Powhatan ma wiele dzieci.

Przytaknęła. - Tak, osiemdziesięcioro siedmioro.

- Gdzie są one wszystkie? - zapytał.

- Zostały odesłane do innych wsi ze swoimi matkami. Czasem ojciec znudzi się którąś ze swoich żon i odsyła ją. Zawsze jednak zatrzymuje przy sobie swoje ulubione dzieci. Chce, bym ja tutaj była, a moja mama Halewa zdecydowała się zostać ze mną, choć nie ma już względów u ojca.

- Powiedz mi jeszcze coś - poprosił biały. - Wiem, że twój lud nazywa nas bladymi twarzami i białymi przybyszami, i Brodacami. Ale słyszałem też jak wołają na nas Tassen-tassees. Co ta nazwa oznacza?

Pocahontas musiała odwrócić wzrok. Była zakłopotana.

- Proszę - błagał John Smith.

- Nie wstydz się i powiedz mi.

Spojrzała na niego, a potem niechętnie się pochyliła i palcem wykreśliła na ziemi obrazek. Narysowała małe zwierzątko z paskiem wzdłuż grzbietu. Potem zatkała nos, żeby się upewnić, że zrozumiał jej rysunek.

Pokiwał głową. - Ale dlaczego? - zapytał.

Postanowiła powiedzieć mu wszystko. - To z powodu zapachu twoich ludzi. - Bała się, że poczuje się urażony. Ale on się roześmiał.

- To prawda - powiedział. - Przypuszczam, że powinniśmy się częściej kąpać.

Nad rzeką przedstawiła go Małej Wydrze. Brodacz znowu się roześmiał, kiedy zobaczył jak zwierzątko wynurza się z lodowatej wody i pędzi w jej ramiona. Były tam także Nagoon i Kewelah oraz kilkoro innych dzieci.

- To tutaj przychodzimy się kąpać każdego ranka, tu witamy słońce i modlimy się - powiedziała białemu człowiekowi Pocahontas.

Jego twarz spoważniała. - Czy ten bóg, do którego się modlicie, czy to jest ten sam, który wczoraj chciał mojej śmierci?

- Nie. Tutaj modlimy się do Ahone, Boga-Stwórcy. Dziękujemy Mu za wszystko, co nam daje. Ale to Okewas ma władzę nad tym światem. Jest Bogiem Wojny, który wysyła mężczyzn do walki.

Służy mu Quiyow, szaman, który tańczył wokół ciebie wczoraj wieczorem. W każdej chwili Okewas może zażądać ofiary z ludzkiej krwi.

- Ja również czczę Boga-Stwórcę - powiedział John Smith. - Wiem, że istnieje inny duch, który kocha wojnę i przelew krwi, ale to zły duch.

Jest wrogiem Boga-Stwórcy.

Pocahontas starała się nie okazywać swego zdumienia na tak dziwne zapatrywania. Chciała się dowiedzieć czegoś więcej, jednak bała się zapytać.

Zapytała za to o magiczną strzałkę. Zdjął ją z szyi i wyciągnął, by jej pokazać. To prawda: strzałka wirowała w metalowym kręgu. Drżała, ale niezależnie od tego, w którą stronę John Smith ją obrócił, wskazywała zawsze ten sam kierunek - zawsze północ.

- Nazywamy to kompasem - wyjaśnił. - Kiedy po raz pierwszy mnie złapano, uratował mi życie, ponieważ każdy myślał, że on jest zaklany.

Z powrotem powiesił kompas na szyi i dodał: - Omal nie zapomniałem. - Sięgnął do kieszeni swego grubego ubrania i wyciągnął błyszczące, niebieskie paciorki, które obiecał Pocahontas. - To dla mojej nowej, małej siostrzyczki - powiedział.

Uśmiechnęła się i odparła: - La-tee-nah.

Rozdział 7

Decyzje

7. Decyzje

W miarę upływających dni Pocahontas widziała, jak John Smith stawał się coraz bardziej podobny do jej ludu. Często wybierał się na polowania z mężczyznami z plemienia.

Parahunt mówił, że szybko opanowuje sztukę strzelania z łuku.

Mama Halewa dobrze karmiła białego wodza. Pocahontas uśmiechała się na myśl o tym, jak delectował się plackami kukurydzianymi i klonowym cukrem, jak wybierał największą łyżkę z muszli mięczaka do jedzenia zupy z jeleniej głowy.

Słyszała kiedyś jak John Smith mówił, że jada znacznie lepiej niż ktokolwiek w osadzie białych ludzi.

- Biały wódz martwi się o swoich ludzi - powiedziała tego wieczoru Halewa do Pocahontas, kiedy układały się do snu w swoim wigwamie. - Są głodni.

Następnego dnia, kiedy John Smith powrócił z Parahuntem z porannego polowania, usiadł wraz z Pocahontas na niskim kamieniu obok paleniska. Trzymał białe pióro, które ofiarowała mu dziewczynka. Miał też gładki kawałek drewna i pożyczył małe gliniane naczynko z farbą, którą Halewa przygotowała z jagodowego soku. Zanurzył koniec pióra w tym barwniku i zaczął kreślić dziwne znaki na kawałku drewna.

- To - odezwał się - jest twoje imię.

Zastanawiała się, czy miał na myśli białe pióro. Skąd znał jej tajemne imię? Jednak nie, wskazywał na znaki, które zrobił.

- To są litery - mówił - i razem oznaczają imię Pocahontas.

Dzięki takim literom i słowom potrafię przesłać wiadomość do kogokolwiek, gdziekolwiek i mogę powiedzieć tyle, ile chcę.

Nie mogła zrozumieć, jak to się dzieje. - Mój ojciec wysyła wiadomości przez gońców - powiedziała. - Nawet jeśli Powhatan mówi przez cały ranek, goniec zapamięta każde słowo i dokładnie przekaże przesłanie ojca.

- To doprawdy wspaniałe - przyznał John Smith. - Jednak słowa napisane tymi znakami mogą przetrwać znacznie dłużej niż jakikolwiek posłaniec. Już teraz mogę zapisać informację, która mówi wszystko o Powhatanie.

Można ją przechować i przekazać jego prawnukom, a nawet ich prawnukom. Przez setki lat wciąż będzie w tych znakach i każdy będzie mógł ją zrozumieć.

Mógłbym nawet wysłać wiadomości o tobie do mojego narodu w Anglii, daleko za oceanem. Mogę im opisać jak wygląda księżniczka Pocahontas, w co się ubiera, co robi każdego dnia i jak uratowała mi życie - wszystko za pomocą takich właśnie znaków.

Pocahontas potrząsnęła głową.

To była jakaś tajemnica. Owszem, nowy Starszy Brat stawał się dobrym Algonkinem, ale przekonała się, że wielu rzeczy można się także nauczyć od białych ludzi.

- Opowiedz mi o tej Anglii za wielką wodą - poprosiła.

- Domy zbudowane są z kamienia - tłumaczył. - A dziewczynki takie jak ty noszą sukienki, które sterczą szeroko jak małe wigwamy.

Zastanawiała się, czy się z nią przekomarza. Po co ktoś miałby się tak ubierać?

- Żeglowałem po oceanach i widziałem także wiele innych krain - ciągnął John Smith.

- Jednak ze wszystkich miejsc jakie zobaczyłem, to jest najpiękniejsze. Kiedy zszedłem z pokładu statku, ujrzałem truskawki cztery razy większe niż te, które mamy w Anglii.

Drzewa są tu takie wysokie, a lasy wypełnione zwierzyną. Rzeki potężne i pełne ryb. Kocham twoją ziemię, Pocahontas.

- Teraz to również twoja ziemia - odpowiedziała. - Zostaniesz tu, z nami, jako mój przybrany brat. Teraz należysz do rodziny.

Dostrzegła troskę przebiegającą zmarszczką po jego czole. - Ale moi ludzie w osadzie, w Jamestown - wiem, że mnie potrzebują. Niektórzy z naszych wodzów nie są tak mądrzy, jak powinni. Bardziej dbają o polowanie na złoto niż zdobywanie pożywienia.

Pocahontas chciała zamknąć swój umysł na te słowa. Pragnęła zapomnieć o osadzie zwanej Jamestown. Poza tym, czyż bracia nie mówili, iż to miejsce nie wytrzyma długo chorób i sztormów na oceanie? John Smith jednak ocaleje i zostanie potężnym Algonkinem.

Trzy dni później, o zachodzie słońca bębny obwieściły zebranie plemienne. Pomalowani wojownicy udali się do wigwamu gościa, by wezwać białego człowieka.

Pocahontas szła u jego boku do „długiego domu”. Nie wchodził do niego od tamtej nocy, kiedy o mało nie stracił życia. Miała nadzieję, że teraz się nie boi.

Była pewna, iż tego wieczoru narada nie będzie dotyczyć wojny. Przecież ani razu nie widziała Quiyowa od tej nocy, gdy darowano życie Johnowi Smithowi.

Wewnątrz domu wojownicy stali na baczność przed tronem Powhatan. Byli pomalowani na czarno od czubka głowy po palce u nóg, a kolor ten oznaczał, że zapadają decyzje w sprawach plemiennych najwyższej wagi.

Wódz Powhatan zaoferował Johnowi Smithowi fajkę pokoju.

Pocahontas zobaczyła, jak jej przybrany brat powoli i uroczyście wciąga dym. Dobrze się tego nauczył.

Ojciec milczał. Miał uniesioną głowę i przymknięte oczy. Zawsze tak wyglądał podczas podejmowania ważnych decyzji.

W końcu Powhatan przemówił.

- Johnie Smith, wiem, że jesteś jednym z wodzów swojego ludu, Brodaczy.

John Smith przytaknął.

- Stoisz dziś przede mną ze względu na życzenie mojej ulubionej córki, by cię uwolnić.

Z powodu tego, co zrobiła, zamienia twój wyrok śmierci na przywilej przyjęcia cię do plemienia. Teraz należysz do Algonkinów. Jesteś jednym z nas.

Stałeś się Starszym Bratem Pocahontas. Nadaję ci imię Nantaquod - Przybrany.

- Chociaż jest dzieckiem, Pocahontas przyjęła na siebie wielką odpowiedzialność. Od dawna jednak przygotowuje się do tego, by zostać szamanką.

Przy tych słowach Pocahontas wyprostowała ramiona i stanęła sztywno.

- Podjąłem decyzję - ogłosił Powhatan. - Postanowiłem, że handel z Brodaczami jest lepszy od wojny.

Zostałeś wybrany na wodza wśród Brodaczy, dlatego teraz stajesz się również wodzem wśród Algonkinów. Jako wódz musisz mi sprzyjać, podobnie jak inni wodzowie obdarowują mnie względami. Musisz okazać mi swoje przywiązanie poprzez dary.

Powiem ci, jakie dary mi się podobają, a ty wrócisz do swej rodzinnej osady.

Pocahontas usłyszała, jak w tym samym momencie co ona John Smith szybko wciągnął powietrze.

- Dziś wieczór - oświadczył wódz Powhatan - wyślę cię z powrotem do siedziby białych.

Pójdzie z tobą dwunastu moich honorowych wojowników. Wraz z odesłaniem ich do mnie proszę o przesłanie także darów.

Proszę o jeden z twoich kamieni do mielenia, bo opowiadałeś mojej córce i jej matce, jakie są wspaniałe.

Proszę o miedziane garnki i dwa wielkie "grzmiące kije", które strzelają ogniem. Dzięki temu będę silny wobec moich wrogów Irokezów i potężnego Hurona. Oto dary, jakie wódz podobny tobie musi przesłać królowi takiemu jak ja.

- Wielki Powhatanie - odparł John Smith - jestem zaszczycony przyjęciem mnie do plemienia.

Czuję się wyróżniony uznaniem mnie za wodza Algonkinów. Za przywilej uważam też możliwość powrotu do mej osady, by móc przesłać ci dary, jakich pragniesz.

Pocahontas czuła jak jej serce pogrąża się w otchłani. Nie chciała, by Starszy Brat ją opuszczał.

- Mam jednak jedną prośbę.

Wodzu Powhatanie, sprawiłoby mi ogromną przyjemność, gdybyś pozwolił Księżniczce Pocahontas udać się dziś wieczorem wraz ze mną w podróż do mojej osady.

Jej oczy pofrunęły na spotkanie z ojcowskimi.

John Smith Nantaquod kontynuował. - Bardzo pragnąłbym ofiarować księżniczce specjalne dary. Chciałbym, by przez kilka dni była gościem w naszej wiosce. Będziemy ją traktować ze wszystkimi należnymi jej względami. Powróci na każde twoje wezwanie.

Wódz Powhatan stał ze złożonymi rękami. Pokiwał głową na znak zgody.

Mogła jechać! Na własne oczy zobaczy to dziwne plemię i pozna jego drogi.

John Smith wyszedł od razu, by udać się do swego wigwamu i zebrać rzeczy przed nocną podróżą. Pocahontas przystąpiła do tronu ojca. Z sercem pełnym wdzięczności pochyliła się i dotknęła czołem jego złożonych rąk.

Rozdział 8

Cud

8. Cud

Długie czółno cicho ślizgało się po rzece oświetlonej blaskiem księżyca. Parahunt siedział z przodu, a Remcoe z tyłu. W środku była Pocahontas.

Miała na sobie płaszcz z króliczych skórek, by uchronić się od wieczornego chłodu.

Parahunt przestał wiosłować.

Spojrzał przez ramię na Pocahontas, potem podniósł wiosło i wyciągnął je do siostry. - Zawsze chciałaś się wybrać w podróż pełną przygód, mała siostrzyczko. Czy sprawiłaby ci ona większą przyjemność, gdybyś musiała wiosłować?

Skwapliwie potaknęła.

- Tylko pomyśl - powiedział, gdy odgarniała wodę pierwszym gładkim uderzeniem. - Tym razem nawet nie musisz się chować pod starą niedźwiedzią skórą.

Jej śmiech odbił się echem po iskrzącej się wodzie.

Płynęli w dół rzeki do Chesapeake. Stamtąd mieli się udać w górę następnej rzeki, nad którą leżało Jamestown. Obok nich w łódce znajdowały się kosze mąki kukurydzianej, suszone jagody i orzechy oraz mięso płowej zwierzyny, niedźwiedzia i sznur suszonych ryb. Żywność była darem dla białych ludzi z wioski Johna Smiitha.

Pocahontas myślała o Starszym Bracie i dwunastu wojownikach, którzy mu towarzyszyli. W tym samym czasie przemierzali krótszą, ale bardziej męczącą drogę z Comoco do Jamestown.

Szli na piechotę przez lasy w kierunku południowym. Wybrali drogę lądową, by móc nią powrócić z ciężkimi "grzmiącymi kijami", które strzelały ogniem.

Pomyślała, jak bardzo ucieszą się mężczyźni w Jamestown, widząc Johna Smitha z powrotem - nie było go przecież przez ponad dwa księżyce.

Poranne słońce odbijało się na wodzie, kiedy czółno przybiło wreszcie do brzegu w osadzie białych ludzi. John Smith i dwunastu wojowników szli szybko i byli już na miejscu. Wraz z nimi na brzeg wyszło kilku innych Brodaczy.

Schodząc na ląd Pocahontas rozpoznała angielskie słowa, których nauczył ją Starszy Brat.

- Żywność! - wołali biali. - Mają żywność!

- Tak - odparła Pocahontas. - Żywność. - Wyciągnęła otwartą dłoń w kierunku zapasów w czólnie, wskazując, by Brodacze przyjęli dar. Kilku z nich rozpoczęło rozładowywać i przenosić jedzenie za ogrodzenie z pni, które otaczało ich wioskę.

John Smith Nantaquod przywitał Pocahontas i powiedział: - Ludzie twego ojca poprosili, by pokazać im jak działają ogromne „grzmiące kije”, zanim je zabiorą do waszej wioski. Teraz im to zaprezentuję.

Kilka „grzmiących kijów” stało przy wejściu do osady. Brodacze nazywali je „armatami”.

Pocahontas zobaczyła, jak biali wkładają szary proszek do jednej z nich.

John Smith pokazał, by wszyscy się cofnęli.

Bum!!! Huknęło i ziemia zatrzęsała się pod ich stopami.

Większość ludzi Powhatan upadła na ziemię ze strachu. Parahunt i Pocahontas stali, lecz tylko dzięki temu, że trzymali się ramion Johna Smitha.

- To dobre! To jest potężne i dobre! - wykrzykiwali wojownicy, kiedy odzyskali odwagę i zebrali się wokół angielskiej broni. - Król Powhatan będzie zadowolony.

Sześciu wojowników otoczyło jeden „grzmiący kij”, a pozostałych sześciu drugi.

Objęli je ramionami i zaczęli ciągnąć. Nawet nie drgnęły. Cała dwunastka połączyła swe siły przy jednej armacie, usiłując ruszyć ją z miejsca. Muskuly ich ramion i pleców były napięte i wybrzuszone.

- Ciągnijcie! - krzyczał John Smith. - Ciągnijcie mocniej!

Kiedy ludzie jej ojca wciąż ponawiali swe próby, Pocahontas obserwowała Starszego Brata z rosnącym zrozumieniem. Zdała sobie sprawę, że musiał to wszystko wcześniej przewidzieć.

Potrzeba było o wiele więcej mężczyzn niż dwunastu, by gdziekolwiek przenieść „grzmiące kije”. Zapewne wszyscy Brodacze musieli się wspólnie natrudzić, aby wciągnąć je tutaj, na brzeg rzeki, ze statków, które przywiozły je z Anglii.

- Przykro mi, przykro - mówił John Smith do wojowników, kiedy w końcu zrezygnowali z niesmakiem. - Włożę kamień do mielenia i miedziane naczynia do czółna Parahunta. To przynajmniej da się zabrać.

Wszystkie dary, a ponadto piękne paciorki, przyniesiono z wioski i załadowano do czółna.

John Smith ofiarował również nóż myśliwski Remcoe'owi i błyszczący topór Parahuntowi.

Utyskując rozczarowani wojownicy rozpoczęli powrotny marsz do Comoco. Tymczasem obok czółna na brzegu rzeki John Smith Nantaquod uściskał dłonie Parahunta i Remcoe'a, i po przyjacielsku otoczył ich ramionami.

- Będę się dobrze opiekować księżniczką Pocahontas - obiecywał braciom. - Ofiaruję jej dary, które się jej spodobają. Możecie po nią przyjść, kiedykolwiek Powhatan zdecyduje.

Pocahontas zawołała na pożegnanie do parahunta i Remcoe'a, kiedy ich czółno ześlizgiwało się na wodę.

Potem wraz z Johnem Smithem odwrócili się i poszli brzegiem rzeki do bramy wioski.

Dziewczynka miała szeroko otwarte oczy, by nie stracić żadnego szczegółu. Wszędzie dokoła byli Brodacze. Wyglądali na zmęczonych i słabych, a wielu na chorych. Ich zapach od razu pozwalał zrozumieć, skąd wzięła się nazwa Tassen-tassees.

Słyszała jak John Smith przedstawia ją jako księżniczkę Matoaka Pocahontas, córkę potężnego Powhatana. Biali mężczyźni pochyłali się do przodu w sztywnych ukłonach i wymawiali angielskie słowa, których nie znała.

- Mówią, jak bardzo są wdzięczni za jedzenie - wytłumaczył John Smith. - Dziś wieczór przygotowują dla wszystkich wspaniały posiłek.

Uśmiechnęła się i spróbowała oddać ukłon.

Drewniane domy w wiosce zdawały się Pocahontas cudowne, z ich prostymi i wysokimi bokami. Dachy zrobione były z patyków i trawy. John Smith nazywał to "strzechą". W całej osadzie widziała pełno narzędzi i różnych przedmiotów, których nie znała i nie rozumiała, do czego służą.

Nigdzie nie dostrzegła żadnej kobiety. - Gdzie są wasze dziewczyny? - zapytała Johna Smitha.

- Przyjechaliśmy bez kobiet - odpowiedział.

- Bez kobiet! To dlatego jesteście głodni! Tylko kobiety wiedzą, jak uprawiać kukurydzę i fasolę. Mogłam ci wraz z moimi siostrami pokazać jak to robić.

- Mężczyźni nie mogli nic posadzić poza ogrodzeniem - wyjaśnił. - Bali się strzał wojowników ze szczepu Paspegów.

Przedstawił ją siwowłosemu mężczyźnie, którego nazywał Wielebny Hunt. Był on szamanem w Jamestown, ale nie nosił węży ani skór łasiczek. Pocahontas zaskoczył jego bardzo pogodny wygląd, mimo że zdawał się słabszy i bardziej chory niż pozostali.

Poznała też człowieka o imieniu Percy, szczupłego mężczyznę, który uśmiechnął się i pocałował ją w rękę. Percy i Wielebny Hunt poklepywali Johna Smitha przyjacielsko po plecach i uśmiechali się do niego.

Pocahontas zauważyła jednak, iż większość pozostałych mężczyzn wcale nie wygląda na zadowolonych z jego powrotu.

Mówili z nim poważnym tonem, przyglądali mu się i szeptali między sobą.

Dwóch mężczyzn wyglądało na wodzów. John Smith podał jej ich nazwiska. Ten otyły nazywał się Ratcliffe, a drugi, który przypominał jej małego pieska, Archer. John Smith powiedział, że ci dwaj zostali wybrani na wodzów Brodaczy.

Wprowadzono ją do domu, o którym John Smith powiedział jej, że służy do spożywania posiłków. Na środku stał stół zrobiony z gładkiego, wypolerowanego drewna. Z jednej strony domu wybudowano specjalne miejsce z kamienia, aby podtrzymywać ogień, więc dym nie zalegał ciężko w pomieszczeniu.

Nad ogniem wisiał czarny garnek z czymś gotującym się w środku.

Kilku mężczyzn weszło, by coś zjeść.

Okropny zapach tych mężczyzn - wszystkich razem w tej zamkniętej izbie - o mało nie kazał jej zatkać nosa.

Nawet tu, przy stole, mężczyźni zdawali się czuć nieswojo przy Johnie Smisie.

Usiadła obok niego. Podano jej metalową łyżkę, gładką i błyszczącą, oraz miskę wodnistej zupy. John Smith nazwał ją kleikiem. Z trudem przełknęła tylko jedną łyżkę. Jeśli Brodaczycy mieli tylko to do jedzenia, nic dziwnego, że byli słabi i głodni. Cieszyła się z żywności, która przypląnęła w czóźnie. Można z niej będzie przygotować królewską ucztę tego wieczoru.

Po skąpym posiłku Pocahontas z zadowoleniem pospieszyła za Starszym Bratem na zewnątrz tego dusznego, śmierdzącego pomieszczenia. Wspięli się na szczyt wieży, wzniesionej w rogu palisady. Mogli stąd objąć wzrokiem całe i Jamestown i wszystko wokół niego. John Smith pozwolił Pocahontas spojrzeć przez czarodziejski, okrągły kij, który nazywał "lunetą", sprawiający, że odległe przedmioty wyglądały jak bliskie.

Kiedy byli sami na wieży obserwacyjnej, John Smith wyjaśnił jej swoją sytuację. - Inni wodzowie są na mnie źli.

Jeden z nich, Archer, mówi, że muszę zostać ukarany.

- Ukarany? Za co? - zapytała.

- Za śmierć ludzi, którzy poszli ze mną do lasu, kiedy zostałem złapany.

- Ale przecież to Pamunkejowie i mój wuj Opech ich zabili. Nie mogłeś nic zrobić, by ich uratować!

- Tak, wiem. Ale Archer i Ratcliffe są zazdrośni z mojego powodu. Nie lubią mnie, ponieważ niektórzy wolą słuchać moich rozkazów niż ich. Sądzi, że umarłem i mogą być spokojni.

Teraz chcą się mnie pozbyć na dobre.

Z dołu dało się słyszeć wołanie: Kapitanie Smith!

Starszy Brat zamienił kilka słów z żołnierzem, który krzyczał. Potem zwrócił się do Pocahontas. - Chcą porozmawiać ze mną w domu Ratcliffe'a. - Zeszła za nim po drabinie.

Został zabrany do jednego z domów. Drewniane drzwi zatrzasnęły się za nim.

Pocahontas czekała na zewnątrz, kołysząc się i cicho mruczając. Podeszedł do niej szaman, Wielebny Hunt. Nie znał żadnych słów algonkińskich, jednak cieszyła się, że jest przy niej.

W końcu drewniane drzwi otworzyły się i wyszło kilku mężczyzn. Starszy Brat szedł pomiędzy Ratcliffem i Archerem.

Jego błękitne oczy były pociemniałe i przygaszone, a ręce miał związane na plecach.

Pocahontas podbiegła do niego.

Przemówił w jej języku. - Zdecydowali, że muszę umrzeć.

- Umrzeć? - powtórzyła z niedowierzaniem.

- Nie bój się, mała siostrzyczko - powiedział Nantaquod. - Przyrzekli zwrócić cię ojcu nietkniętą. Rozumieją, jak jesteś ważna.

Pocahontas natychmiast zaczęła zawodzić. Niektórzy z Brodaczy patrzyli na nią groźnie. - Cicho! - krzyczeli.

Ona jednak lamentowała jeszcze głośniejsze. Jak to się mogło stać?

W swojej wiosce potrafiła uratować Johna Smitha, ale w tym miejscu była bezsilna, a Parahunt wraz z pozostałymi odeszli już daleko.

Wielebny Hunt otoczył Johna Smitha ramionami i obaj uklękli na ziemi. Zamknęli oczy i pochylili głowy, cicho coś mówiąc.

Pocahontas zobaczyła, jak jakiś Brodacz uwiązuje linę do belki wystającej z wieży obserwacyjnej. Na jej końcu zwisała pętla.

Dziewczynka zaczęła się głośno modlić: Ahone, Boże-Stwórco, wysłuchaj nas! O Boże Nantaquoda, uratuj go!

Brodacze tłoczyli się wokół.

Zdawali się cisi i odrętwiali.

Nawet Percy, przyjaciel Johna Smitha, wyglądał na bezsilnego i zmieszanego. Pocahontas zrozumiała, że nikt z obecnych nie może pomóc jej Starszemu Bratu.

W tym momencie dotarł do nich okrzyk Brodacza z wieży obserwacyjnej. Jego twarz była zwrócona w kierunku rzeki.

Nagle dał się słyszeć głos podobny do grzmotu - jak wybuch jednego z "grzmiących kijów", ale z daleka.

Rozległ się okrzyk: - Statek! Statek!

Wszyscy się cieszyli i wybiegali przez bramę, zapominając o Johnie Smisie.

Percy i Wielebny Hunt natychmiast zaczęli rozwiązywać sznur, którym skazaniec miał związane ręce. Pocahontas podbiegła i zarzuciła ramiona na szyję przyjaciela. Na jego twarzy odmalowała się ulga. - To angielski statek, który powinien tu przybyć wiele miesięcy temu - wyjaśnił. - Myślę, że teraz wszystko już będzie dobrze.

Usłyszała, jak powtarza angielskie słowo, którego nie знаła: - Cud! - wykrzykiwał. - Cud dla mnie i dla nas wszystkich!

Rozdział 9

Magazyn

9. Magazyn

Wkrótce Pocahontas i Starszy Brat dołączyli do wiwatującego tłumu na brzegu rzeki. Widok ogromnego statku przejął dziewczynkę trwogą. Żagle wyglądały jak gigantyczne łabędzie płynące razem w górę szerokiej rzeki.

Statek zatrzymał się daleko.

Po chwili przyплыnęła od niego mała łódka z sześcioma Brodaczami w środku.. Gdy tylko przybiła do brzegu, wysiadł z niej mężczyzna, który zdawał się wzbudzać szacunek i zyskiwać uwagę wszystkich - nawet napuszonego Ratcliffe'a i

„psiaka” Archera. John Smith powiedział, że człowiek ten nazywa się Kapitan Newport.

- A oto królewska córka Pocahontas - poinformował go Starszy Brat.

Kapitan Newport skłonił się mówiąc: - Jakże jesteś piękna, moje dziecko.

Zdawało się, że wszyscy Brodacze mówią do kapitana Newporta jednocześnie. John Smith, Ratcliffe i Archer, a także inni weszli z nim do osady.

Jeden z mężczyzn powrócił łódką do statku. Pocahontas usiadła na trawiastym nabrzeżu i wpatrywała się w żaglowiec. - Więc to przenosi Brodaczy przez Wielki Szary Ocean - pomyślała.

- A teraz - rozumowała - Łabędzi Statek zabierze żołnierzy z Jamestown z powrotem do Anglii, gdzie będą mogli być ze swoimi kobietami, cieszyć się szczęściem i zdrowiem. Natomiast Starszy Brat zostanie tutaj, na ziemi, którą woli od Anglii czy jakiegokolwiek innego miejsca na świecie. Tutaj stanie się potężnym Algonkinem.

Dziewczynka ujrzała człowieka zwijającego żagle na wysokich masztach, które górowały ponad statkiem. Teraz już nie przypominał jej gigantycznych łabędzi, ale łódź z rosnącymi na niej drzewami.

Wkrótce łódka znów powróciła na wybrzeże z następnymi ludźmi.

Pocahontas długo siedziała nad rzeką i przyglądała się, jak szalupa pływa tam i z powrotem, od statku do brzegu. Naliczyła siedemdziesięciu nowych Tassen-tassees, w tym dwóch chłopców w podobnym do niej wieku. Wszyscy przybysze wyglądali na silniejszych i zdrowszych od tych, którzy już byli w Jamestown. Szybko uznała, że Anglicy musieli tu przyjechać, by pozostać na zawsze. Zastanawiała się, co by o tym pomyślał ojciec.

Tego wieczoru wszyscy świętowali przy jedzeniu, które było darem od Powhatana, oraz palącym napoju, zwanym rumem, który przyniesiono ze statku. Po posiłku przyszła pora na Śpiewy i tańce. Nie było bębnow, lecz jeden z mężczyzn trzymał drewniane, podłużne pudło z naciągniętymi wzdłuż niego strunami i przeciągał po nich długim kijkiem - wydawały śpiewne dźwięki. To były skrzypce, jak wyjaśnił jej John Smith. W rytm tej szybkiej, wesołej muzyki żołnierze stukali obcasami i klaskali w ręce.

Inny żołnierz przyniósł jeszcze dziwniejszy przedmiot wydający dźwięki. Wyglądał jak torba z wiatrem w środku, a brzmiał jak wycie setki wilków.

Pocahontas miała ochotę zasłonić uszy. Kiedy John Smith spostrzegł, jak bardzo jej to przeszkadza, poprosił grającego mężczyznę, by przeniósł się na drugi koniec izby.

Następnego poranka łódka znów kursowała pomiędzy nabrzeżem a statkiem. Tym razem przywoziła zapasy żywności, a nie kolejnych ludzi. Pocahontas widziała, jak wnoszono jedzenie do pomieszczenia, które Anglicy nazywali magazynem. Praca trwała przez cały dzień.

Wszyscy wokół byli tak zajęci, a ona sama nie bardzo miała co ze sobą począć, więc zaczęła robić gwiazdy tuż przed magazynem. W pewnej chwili wyszli z niego dwaj chłopcy w jej wieku. Śmiali się i zaczęli ją naśladować, dopóki któryś z żołnierzy nie krzyknął na nich.

Musieli pospieszyć na nabrzeże rzeki, by nadal pomagać w noszeniu zapasów.

Znowu sama, Pocahontas wykonała następny szereg gwiazd, tym razem sześć z rzędu. Kiedy się zatrzymała, znalazła się na wprost otwartych drzwi budynku sąsiadującego z magazynem.

Wewnątrz domu zobaczyła miejscowego szamana, Wielebnego Hunta. On także ją dostrzegł i gestem pokazał, by weszła do środka.

Z początku nie ośmieliła się wejść. W jej narodzie szamani zawsze trzymali się z boku. Dla Quiyowa niesłychane byłoby zaprosić kogoś do swego wigwamu, a już z całą pewnością nie dziecko.

Pocahontas nie mogła sobie nawet wyobrazić, by jakieś dziecko w ogóle chciało wejść do mieszkania Quiyowa. Coś jednak w środku niej pragnęło przyjąć to zaproszenie ze strony

białego szamana. Widziała już, jak Wielebny Hunt spacerował pośród swego ludu, uśmiechał się i rozmawiał, zupełnie jakby był jednym z nich. Widziała go modlącego się z Johnem Smithem i przynoszącego mu ukojenie. Na pewno nie stanowił dla niej niebezpieczeństwa.

Zdecydowała się wejść. Mijała rzędy długich kawałków drewna położonych na pniakach. Wielebny Hunt siedział na krześle przy końcu sali. Nad nim, na ścianie wisały dwa złęczone kawałki srebra: jeden ustawiony pionowo, a drugi krzyżujący się z nim w środku. Teraz sobie przypomniała: wczoraj, kiedy przechodzili obok z Johnem Smithem, wskazał na to miejsce, gdzie biali czcili Boga. Nazwał je "kościółem".

W środku pomieszczenia dach wznosił się stromo do wnętrza wieży. U jej szczytu wisało dnem do góry coś, co wyglądało jak metalowy garnek. Wewnątrz znajdował się pręt z przywiązaną do niego liną. Koniec liny zwisał niewiele ponad głową Pocahontas.

Wielebny Hunt podniósł się ze swego siedzenia i podszedł do niej. Sięgnął po koniec sznura i pociągnął. Zobaczyła, jak wysoko w wieży metalowy garnek nagle się poruszył, zupełnie jakby próbował ustawić się dnem do dołu. Metalowy pręt uderzył w jego bok. Dźwięk, jaki się rozległ, nappełnił jej serce zdumieniem.

- Dzwon - odezwał się Wielebny Hunt.

Poszedł z powrotem do swego krzesła. Podniósł coś, co widziała, że trzymał na kolanach, gdy weszła. - Biblia - powiedział. Ze sposobu, w jaki ostrożnie jej podał ten przedmiot, zrozumiała, że ma on dla niego wielką wartość.

Wierzch był biały z jakimiś czarnymi liniami. Przyglądając się im z bliska zauważyła, że te linie to wiele rzędów czarnych znaków, jakie pokazywał jej John Smith.

Trzymała otwartą Biblię w dłoniach. Spód przypominał miękką skórę jelenią. Wielebny Hunt pokazał jej, że środek składał się z mnóstwa cienkich białych płachetek, dużo cieńszych niż najcieńsza kora brzożowa. Były dwie sterty tych płachetek, jedna przy drugiej, ale złączone czymś w środku.

Dziewczynka zobaczyła, że na każdej białej płachetce widnieje mnóstwo rzędów maleńkich czarnych znaczków.

Domyśliła się, że to musi być wiadomość z wielu, wielu słów.

Zastanawiała się jednak kto je spisał i w jaki sposób mógł zrobić tak małe znaczki.

Wielebny Hunt mówił coś, ale nie zrozumiała. Potem uchwyciła kilka angielskich słów, które poznała: "Bóg", "dobry", „Stwórca". John Smith nauczył ją ich, kiedy rozmawiali o Ahone.

Może te słowa w Biblii są od Boga-Stwórcy. Czy to możliwe, aby On sam zapisał tę wiadomość?

Na krótko przed zachodem słońca Starszy Brat powiedział jej, że tego wieczoru będzie kolejna uczta. Ze statku do magazynu w Jamestown przeniesiono już wszystkie zapasy żywności. Aby to uczcić, kapitan Newport zaprosił przywódców z Jamestown na przyjęcie na statku. - Księżniczka Pocahontas jest również zaproszona - powiedział do niej John Smith.

Kiedy oboje znaleźli się w małej łódce, rozbłysła pierwsza gwiazda. Na tle ostatniego skrawka błękitu nieba mogła zobaczyć zarys wznoszących się pni surowych drzew, które wyrastały z Łabędziej Łodzi. W miarę jak zbliżali się do tego gigantycznego żaglowca, z trudem wstrzymywała podniecenie, jakie ją ogarniało na myśl o wejściu na jego pokład. Kiedy w końcu wspięła się z łódki na statek, jej ekscytacja zaczęła przygasać. Zapach Tassen-tassee był tu jeszcze gorszy niż w wiosce. Nasilał się w dodatku w miarę jak posuwali się w głąb kadłuba statku, do izby, gdzie podano posiłek.

Pocahontas i John Smith usiedli pomiędzy ich przyjacielem Percym i kapitanem Newportem. Starszy Brat powiedział jej, że brat Percy'ego stał się wrogiem króla Jamesa, wielkiego wodza Anglii.

Percy bał się o swoje życie i dlatego przyplłynął przez ocean do tej krainy.

Kapitan Newport starał się okazać dziewczynce swój zachwyt dla niej. John Smith wytłumaczył Pocahontas, iż przypomina kapitanowi jego własną córkę, która została za morzem.

Pocahontas zauważyła nieobecność na przyjęciu Archera i Ratcliffe'a. Starszy Brat wyjaśnił jej, że kapitan Newport rozgniewał się na nich i będzie chciał ich ukarać. - Jest mądrym człowiekiem i silnym przywódcą - mówił John Smith. Pocahontas zrozumiała, że nauczyła się pewnej lekcji o Brodaczach.

Wśród nich, podobnie jak w jej własnym narodzie, byli zarówno mądrzy, jak i głupi wodzowie.

Nagle ze szczytu masztu rozległ się okrzyk: - Pożar w osadzie!

Pocahontas pobiegła ze wszystkimi na pokład, by zobaczyć, co się dzieje. Ujrzeni języki ognia, skaczące na jednej ze strzech wewnątrz palisady.

Szalupa szybko wypełniła się ludźmi, którzy pospieszyli z powrotem do osady. W połowie ich drogi dziewczynka usłyszała, jak ktoś woła w kierunku statku: - To magazyn! Pali się magazyn!

Późno w noc także Pocahontas powróciła do wioski. Stała ze smętnymi mężczyznami z Jamestown wokół wielkiego stosu tłących się popiołów. To było wszystko, co zostało z magazynu i żywności przywiezionej z Anglii.

Bracia mieli w zupełności rację. Wioska białych ludzi nie mogła przetrwać.

Spłonął również kościół znajdujący się obok magazynu.

Pocahontas zobaczyła Wielebnego Hunta, który przycupnął na jego ruinach, zakrywając twarz rękoma.

W tej zadymionej ciemności Pocahontas zdała sobie sprawę, jak bardzo pragnie, by Jamestown nie zniknęło. Chciała, aby Brodacze zostali i żyli, aby byli zdrowi i szczęśliwi.

Wiedziała jednak, że tylko jej własny lud może uchronić ich od umierania.

Rozdział 10

Łagodny strażnik

10. Łagodny strażnik

Długa leśna ścieżka pomiędzy Comoco i Jamestown wkrótce stała się dla Pocahontas najbardziej uczęszczaną i znajomą drogą.

Często zabierała nawet dwanaścioro innych dzieci, by wraz z nią niosły dary żywnościowe dla głodnych Brodaczy. Czuła się szczęśliwa, że może to robić.

Jeszcze bardziej cieszyło ją to, że ojciec poprosił swoich ludzi, by handlowali z Brodaczami. Dzięki temu wiele kukurydzy z pól jej plemienia wędrowało do Jamestown.

Pewnego ciepłego wieczoru wódz Powhatan wezwał ją do "długiego domu" na posiłek z placków z krabów. Była jego jedynym gościem. Siedzieli naprzeciw siebie ze skrzyżowanymi nogami.

Z ramion ojca spadał, układając się w fałdy, nowy płaszcz, który dla niego uszyła z pomocą Halewy.

Księżniczka uznała ten czas za uroczysty. Nic nie mówiła.

Musiała zaczekać, aż jej ojciec odezwie się pierwszy.

Pocahontas pamiętała podniecenie, jakie panowało w tym domu pewnej nocy niedawno temu. Przybył Starszy Brat z kapitanem Newportem i wieloma żołnierzami z Jamestown.

Brodacze ofiarowali dary jej ojcu i jego rodzinie: niebieskie paciorki, miedziane bransoletki i zwoje czegoś czerwonego zwanego aksamitem, co było miększe od najmiększej skórki jeleniej. Przywieźli także zdumiewającego psa, charta - najszybsze zwierzę, jakie kiedykolwiek widziała. Ojciec nadał mu imię Kint.

Najbardziej Pocahontas zdziwiła się na widok dwóch białych chłopców, których poznała w Jamestown. Jeden z nich, Thomas, miał zostać tu, w Comoco, by służyć Powhatanowi i jego plemieniu, i uczyć się od nich. Drugi chłopiec, Samuel, miał przez jakiś czas przebywać w innej wiosce Powhatana. W zamian wódz Powhatan pozwolił swemu synowi Namontackowi być pomocnikiem kapitana Newporta.

Później tej nocy John Smith powiedział Pocahontas, że Namontack może nawet pozegluje z kapitanem Newportem za ocean.

Pocahontas zaczęła się zastanawiać, co zobaczyłby Namontack, gdyby popłynął do Anglii. Wyobrażała sobie, co ona mogłaby zobaczyć i zrobić, gdyby tylko mogła się tam udać.

Głos Powhatana wyrwał ją z marzeń na jawie. Zjedli już placki krabowe, więc zaczął mówić: - Pocahontas, czy możesz uratować ludzi ze swego plemienia? Czy potrafisz wyzwolić ich tak, jak ocaliłaś Nantaquoda?

- Co masz na myśli, ojczu?

- Tassen-tassees złapali dziesięciu z naszych najlepszych wojowników - odparł. - Są więźniami w wiosce białych.

Jednym z nich jest twój brat Tatacoope.

Nie mogła wprost uwierzyć w to, co słyszała.

- Ale dlaczego? - zapytała. - Jak Brodacze mogli zrobić coś takiego?

Twarz ojca przybrała surowy wygląd. - Są na nas źli - odparł - ponieważ zażądaliśmy tego, co jest słuszne. Jestem znużony sprzedawaniem kukurydzy za miedź i paciorki. Chcę mieczy i strzelb. Kiedy Brodacze przynieśli tu swoje dary, powiedziałem im, że teraz będziemy się wymieniać tylko na miecze i strzelby. Właśnie to nasi wojownicy usiłowali wziąć od nich.

Tak więc źródłem problemu jest broń, wywnioskowała Pocahontas.

Nie była pewna czy nawet przyjaźń ze Starszym Bratem może tu coś pomóc. Postanowiła jednak spróbować.

- Rano pomodłę się do Ahone'a o szczęśliwy dzień, potem pójde - odrzekła.

Kiedy wychodziła z "długiego domu", ojciec zawołał: - Za dwa dni będziemy składać ofiarę wiosenną Okewasowi. Czy to dobrze, żeby cię tu nie było?

Pocahontas zatrzęsła się w środku. Raz jeszcze Okewas żądał krwi. Przed oczami stanął jej obraz. Ujrzała Quiyowa pomalowanego na czarno i wyciągającego rękę. Jego głos zawodził, a palec nieubłaganie wskazywał ofiarę. Wyznaczył Lominasa, jej kuzyna i przyjaciela. Halewa szybko pociągnęła Pocahontas za siebie, by zasłonić przed nią widok tej kaźni. Matka nie zakryła jednak uszu dziewczynki. Pocahontas nigdy nie zapomni krzyku Lominasa, Lominasa-którego-już-nie-ma.

Poczuła gorące łzy, kiedy obejrzała się na ojca. Zdawał się zagubiony w myślach i nie patrzył na nią. - Ale chyba - powiedział w końcu - nie można temu zaradzić. Idź, Pocahontas, i zrób, co w twojej mocy.

Przytaknęła i w duchu podziękowała Bogu-Stwórcy za zmianę zdania ojca co do jej nieobecności podczas składania ofiary.

Następnego dnia, w swoim ulubionym zakątku, Pocahontas przyciągnęła kolana do piersi i oparła brodę na rękach.

Przyglądała się zabawie Małej Wydry.

Zwierzątko rozglądało się w promieniach słonecznych, ześlizgnęło do wody i przepłynęło szybkie kółko, zostawiając za sobą srebrzysty ślad. Potem znów wyskoczyło na brzeg i ochłodziło Pocahontas roziskrzonym pyłem wodnym.

Jeszcze raz zanurkowało i pomknęło w dal. Dziewczynka widziała je poprzez falujący prąd, jak turla się bez końca po dnie rzeki.

Roześmiała się. - Kuisz mnie, żebym się z tobą bawiła, wiem - zawołała, kiedy wydra pokazała łepkę nad powierzchnią wody. - Ale też o czymś mi przypominasz, prawda?

Mała Wydra była królem Wodnego Świata. Należała do najszybszych pływaków i najlepszych rybaków w strumieniu. Jednak kochała też Świat Lądu. Wygrzewała się w słońcu wiosną i latem, w zimie ślizgała się i bawiła na śniegu.

- W obu światach czujesz się jak u siebie - powiedziała dziewczynka. - A ja jestem podobna do ciebie. Pocahontas też żyje w dwóch światach.

Następnego dnia wyszła na znajomą polanę wyciętą w lesie wokół Jamestown. Strażnik z wieży obserwacyjnej pomachał do niej na powitanie. - To Pocahontas!? - wykrzyknął radośnie do ludzi za palisadą.

Jak zwykle Starszy Brat powitał ją w bramie. Kiedy wchodzili do osady, Pocahontas przyglądała się budynkowi, który Brodacze nazywali aresztem.

Wiedziała, że tam muszą być jej współplemieńcy. Na zewnątrz, przy drzwiach, stało dwóch strażników ze strzelbami.

Tego wieczoru zasiadła przy małym stole w domu Johna Smitha.

Wielebny Hunt i Percy też tu byli.

Pocahontas pochyliła głowę, kiedy szaman odmawiał modlitwę dziękczynną do Boga-Stwórcy. Ona także się modliła, i to żarliwie. Była przekonana, że jeśli nie powiedzie się jej misja uwolnienia Algonkinów, to Jamestown zostanie zaatakowane.

Wielu straciłoby życie.

Pocahontas trzymała swą metalową łyżkę i jadła nią dokładnie tak, jak się nauczyła od Brodaczy. Dziś podano zupę z mięczaków.

Trzej przyjaciele opowiedzieli jej wszystko, co zaszło od jej ostatnich odwiedzin. Kapitan Newport pożeglował z powrotem przez ocean. Jej przyrodni brat Namontack udał się razem z nim.

Kapitan zabrał też ze sobą Archera, by zostawić go w Anglii i powrócić możliwie najszybciej do Jamestown. Ratcliffe został w wiosce, ale teraz wszyscy uznawali Johna Smitha za swego przywódcę.

Uznała te wiadomości za dobre.

Skoro Starszy Brat był prawdziwym wodzem w Jamestown, jej misja miała większe szanse powodzenia.

- Jak wiesz - zauważył John Smith - Ratcliffe zawsze odznaczał się wyjątkową surowością. Ostatniej zimy skazał pewnego człowieka na śmierć za kradzież żywności z magazynu. Kradzież rzeczywiście zawsze musi być surowo ukarana.

- Mówiąc to, spoglądał uważnie na Pocahontas.

Mężczyźni przez chwilę rozmawiali między sobą, a kiedy się uciszyli, odezwała się ona.

- Mój przyjacielu i Starszy Bracie, domyślasz się z pewnością, że przysłał mnie ojciec.

- Tak - odpowiedział. - Nie mam wątpliwości co do tego, iż przysłał cię wódz Powhatan, byś poprosiła o więźniów.

- Są moimi krewnymi i jest wśród nich mój brat.

- Oni kradli - podkreślił. - Co powiedziałyby twój ojciec, gdybyśmy przyszli do Comoco i próbowali zabrać jego maczugi wojenne, łuki i strzały?

Odpowiedziała zgodnie z prawdą: Powiedziałyby, że zasługujecie na śmierć. - Po krótkiej przerwie znów przemówiła, starannie dobierając słowa. - Ja jednak przyszedłam prosić o twoją łaskę, Starszy Bracie.

Minęła długa chwila, zanim John Smith odpowiedział. - Kiedyś byłem więźniem. - Jego zmęczone czoło wyrażało powagę.

- Miałem jednak łagodnego strażnika. Troskliwie nade mną czuwał. Nauczył mnie dróg swojego ludu. Gdybym tylko mógł teraz znaleźć takiego samego dozorcę, pozwoliłbym mu wziąć odpowiedzialność za więźniów, których mamy. W ten sposób żaden z naszych żołnierzy nie musiałby pilnować aresztu.

Pocahontas była zmieszana jego słowami. Zauważyła, że niebieskie oczy jej Starszego Brata błyszczą.

- Pocahontas, zawdzięczam ci życie - ciągnął. - Nie mogę odmówić twojej prośbie o uwolnienie więźniów. Kiedy jednak zabierzesz tych mężczyzn do twego ojca, musisz być

łagodnym, lecz mądrym strażnikiem i pilnować, by nie popełnili tego błędu po raz drugi. Nie możemy dopuścić do kradzieży.

- Powiedz swemu ojcu - mówił dalej - że John Smith Nantaquod jest człowiekiem, który nie rzuca słów na wiatr. Powiedz mu, że uwalniając tych więźniów bez wymierzenia kary, pragnę uczcić moje przybranie jako twego Starszego Brata.

Nazajutrz był dzień odpoczynku dla białych i John Smith powiedział, że dziś nie uwolni więźniów. Zadzwoił cudowny dzwon w nowym kościele i Brodacze zebrali się w nim.

Pocahontas czekała tuż za drzwiami. Podobał jej się śpiew, który wypływał z budynku taką dziwną melodią.

Kolejnego poranka Pocahontas wyprowadziła dziesięciu więźniów z Jamestown. Wszyscy byli zdrowi i cali. Tylko Tatacoope wyglądał na złego. Wiedziała, że nie mógł znieść, iż uwolniła go młodsza siostra.

Kiedy zbliżali się do Comoco, mieszkańcy wioski wybiegli im na spotkanie. Pocahontas podnieśli na ramionach najwyżsi młodzieńcy, a ludzie się radowali.

Nawet Powhatan wyszedł, by ją powitać. - Dobrze się spisałaś, Pocahontas - powiedział.

Po powrocie do wioski najpierw skierowała się do swojego wigwamu. Mama była w środku, a jej mały braciszek drzemał na swojej macie.

- Spójrz, mamó - wyszeptała Pocahontas. - Przyniosłam ci specjalny prezent od Johna Smitha. - Wyciągnęła lusterko.

Biorąc je Halewa uśmiechnęła się na chwilę. Szybko jednak na jej twarz powrócił smutek.

Pocahontas zadała zniechęcone pytanie, którego jednak nie mogła nie zadać. - Kogo tym razem wybrał Okewas?

- Małego Melon-Belly, dziecko Dawinty - odparła matka.

Pocahontas westchnęła ze zgrozy. - Przecież on był taki mały!

Halewa delikatnie klepnęła po plecach swoje śpiące dziecko. - Tak - odrzekła - tylko niemowlę.

Rozdział 11

Pora gorączki

11. Pora gorączki

Parahunt i Pocahontas szli leśnym szlakiem z Comoco w kierunku Jamestown. Była pora roku zwana Księżycem Grzmotu, chociaż Pocahontas słyszała, że Brodacze mówią o niej lipiec.

W Comoco kukurydza wyrosła już wysoko. Dzisiaj dyżur przy odganianiu od upraw ptaków i innych stworzeń przypadał na jej siostrę Kahnessę. Kiedy zatem Parahunt powiedział Pocahontas, że chce pójść do Jamestown i pokazać Nantaquodowi jak łowić jesiotra za pomocą oszczepu, mogła pójść wraz z nim. Chętnie przebywała z bratem, gdyż wkrótce miał opuścić Comoco i zostać wodzem innej wioski Algonkinów, za Jamestown.

Cieszyła się, że Parahunt, w przeciwieństwie do Tatacoope'a, zdawał się podzielać jej pragnienie uczenia się od białych, tak samo jak Tassen-tassees chętnie uczyli się od Algonkinów. - Niektórzy z Brodaczy są dobrzy - powiedział Parahunt. - Lubię Nantaquoda.

Kiedy zbliżali się do Jamestown, była uradowana bujnością upraw wokół osady.

Razem z Kahnessą pomogły Brodaczom zasadzić kilka rzędów kukurydzy i fasoli, a także zrobiły kopczyki na dynię i melony. Te szybko rosnące rośliny stanowiły dla Pocahontas jakby obraz jej własnego wzrostu w poznawaniu dróg białych ludzi.

Teraz dobrze już rozumiała ich angielskie słowa i mogła rozmawiać z którymkolwiek z nich.

Przechodzili też obok cmentarza białych w pobliżu pola kukurydzy. Stało tam więcej drewnianych krzyży, niż Pocahontas potrafiła szybko zliczyć. Niektóre znajdowały się na kopcach ze świeżo usypanej ziemi. Księżyc Grzmotu często przynosił choroby, gorączkę i śmierć, zwłaszcza tutaj, na nizinie.

Parahunt szybko odnalazł Johna Smitha i zaczął mu opowiadać o łowieniu potężnego jesiotra. Gdy Starszy Brat odchodził wraz z nim, powiedział do Pocahontas: - Może zechciałabyś odwiedzić Wielbnego Hunta. Obawiam się, że nie czuje się dobrze.

Skierowała się do nowego kościoła i weszła do środka. W jednym końcu pomieszczenia było małe okienko z kolorowego szkła, które kapitan Newport podarował mieszkańcom Jamestown.

Przenikające przez nie promienie słoneczne sprawiły, że świeciło na czerwono i niebiesko. Ten lśniący, kolorowy blask powodował, że kościół stał się jej ulubionym miejscem w całym Jamestown.

Wielebny Hunt leżał na wąskim łóżku w bocznym pokoju przy kościele. Kiedy weszła, podniósł głowę i uśmiechnął się słabo. - Witaj, dziecko - powiedział.

Wzięła jego rękę. Była rozpalona i drżąca.

Usiłował mówić. - Zdaje się, że skończyły się problemy pomiędzy twoimi i moimi ludźmi, odkąd zabrałaś z powrotem złapanych wojowników.

- Tak - odparła. - Panuje pokój.

- Dobrze postąpiłaś, moje dziecko. Wprowadzasz pokój. A ci, którzy czynią pokój, są błogosławieni.

- Błogosławieni? - odezwała się. - Co to za słowo?

Uśmiechnął się. - Oznacza szczęśliwi. Szczęśliwi ci, którzy wprowadzają pokój. Tak nas nauczył Jezus.

- Często słyszę, jak mówisz o Jezusie - powiedziała. - Kim on jest?

- Jest Synem Ahone'a.

Bóg-Stwórca przysłał swego własnego Syna na ten świat, aby pokonać moc złego.

- Czy on walczył z Okewasem? - zapytała.

- Na swój własny sposób, tak.

Jezus pozwolił złemu wystąpić przeciw sobie i zabić siebie.

Jezus jest doskonałą krwawą ofiarą. Wykupił nasze życie poprzez oddanie swego własnego.

Słowo, którego używamy, to odkupić. On nas odkupił.

- Podobnie jak ty to zrobiłaś, Pocahontas. Kapitan Smith opowiedział nam, jak położyłaś swoją głowę na jego, aby uratować go od stania się ofiarą dla Okewasa. Jezus właśnie to zrobił dla nas. Wszedł pomiędzy nas a złego, więc zły nie może nas dostać.

Wielebny Hunt zamknął oczy i oddychał z trudem. Widziała, jak wiele zużył sił, by jej wytłumaczyć historię Jezusa.

Ścisnęła jego rękę w swoich dłoniach jeszcze mocniej, usiłując przekazać mu swą własną siłę, by mógł nadal mówić.

Spojrzał na nią i potaknął. - Ja opowiem ci więcej, moje dziecko. Jest znacznie więcej do powiedzenia. Historia Jezusa nie kończy się na - Jego śmierci - Wielebny Hunt nie mógł ciągnąć dalej. Zamknął oczy i odwrócił głowę.

Bała się o niego.

Odeszła od jego łóżka i wyszła z kościoła w palące letnie słońce pory gorączki.

Trzy ranki później, kiedy znów wzeszło słońce, stała obok Parahunta i Starszego Brata, kiedy ciało Wielebnego Hunta składano do nowego grobu na łące obok pola kukurydzy. Nie zawodziła tak jak członkowie jej plemienia, gdy kogoś grzebano.

Stała prosta i cicha, chociaż łzy toczyły się po jej policzkach. Zastanawiała się, kto opowie jej dalszy ciąg historii o Jezusie, którą znał Wielebny Hunt.

Przez całe lato Pocahontas odwiedzała Jamestown. Co kilka dni, dopóki nie zostały zebrane plony, ona i jej siostry przynosiły w darze kukurydzę.

Dostarczały również zioła i lekarstwa, i opiekowały się Tassen-tasses, którzy mieli gorączkę.

Raz po raz słyszała, jak mężczyźni nazywają ją nowym imieniem. Słowo było dziwne.

- Jak oni mnie nazywają? - spytała pewnego dnia Johna Smitha.

- Nadali ci imię Nonpareil - odpowiedział. - To słowo francuskie, pochodzące z innego języka białych ludzi. Oznacza, że nie ma nikogo takiego jak ty.

Nie ma nikogo, kto dorównałby twojemu urokowi i odwadze. Nie ma nikogo podobnego do księżniczki Pocahontas!

Rozdział 12

Nie chciana korona

12. Nie chciana korona

Dzień jeszcze nie wstał, lecz ktoś potrząsał Pocahontas, aby się zbudziła. Z trudem otworzyła oczy. Zobaczyła Kahnessę, która ciągnęła ją i szeptała: - Obudź się, Matoaka!

- Co się stało?

- Mała Wydra jest w niebezpieczeństwie - odpowiedziała Kahnessa. - Chodź szybko.

Pocahontas bezszelestnie wysunęła się z wigwamu i pospieszyła za siostrą nad rzekę dobrze wydeptaną ścieżką.

Poprzez drzewa przeświecał blask pierwszej tej jesieni pełni księżyca. Kładł plamy światła na leśnym poszyciu.

- Nie mogłam spać - opowiadała Kahnessa - więc przyszedłam nad rzekę. I tu zobaczyłam, co zrobiła Mała Wydra.

Księżyc nad rzeką świecił jasno. Kahnessa wskazała w kierunku pułapek rybnych.

Zaledwie wczoraj Tatacoope umieścił tu kilka nowych koszyków i Pocahontas wiedziała, jak wiele sobie po nich obiecywał i jak bardzo się cieszył na myśl o pierwszym połowie tego ranka.

Podeszła bliżej, aby się przyjrzeć. Na nowe pułapki dokonano napadu. Koszyki zostały poszarpane, porozrywane i nie było w nich ryb.

- Ale skąd wiesz, że zrobiła to Mała Wydra? - wykrzyknęła Pocahontas. - Ona sama łowi sobie pożywienie!

- Widziałam ją - odrzekła Kahnessa. - To ja ją odciągnęłam. Och, siostrzyczko!

Teraz Tatacoope z pewnością złapie Małą Wydrę i ją oskalpuje.

Pocahontas usiadła na brzegu i zmusiła się do myślenia. Kilka robaczków świętojańskich krążyło wokół jej głowy, rozsiewając wokół zielonkawą poświatę. - Nie - zdecydowała ostatecznie. - Zabiorę ją stąd, daleko stąd.

Musisz powiedzieć Tatacoope'owi, że odciągnęłaś ją w górę rzeki, aż do skał. I powiedz mamie, że z żalu za Małą Wydrą poszłam odwiedzić przyjaciół w Jamestown.

- Ale gdzie ją zabierzesz?

- Pójdę za Jamestown, do wioski, której wodzem jest teraz Parahunt. Tam wypuszczę Małą Wydrę do rzeki.

Pocahontas wstała: - Muszę iść od razu.

Poszła wzdłuż brzegu, pogwizdując na swoje zwierzątko.

Za moment usłyszała jego szczekanie. Kiedy wydra wysunęła się z wody i rzuciła się zabawnie do jej stóp, zbeształa ją z gniewem pomieszonym ze smutkiem. Wzięła ją na rękę.

- Muszę odesłać cię, Mała Wydra - wyszeptwała. - Rozpoczniesz nowe życie. Może nawet znajdziesz sobie partnerkę.

Zaniosła zwierzątko do czółna, które Parahunt zostawił dla niej. Teraz potrafiła już prowadzić łódkę tak sprawnie jak bracia. Mała Wydra pierchnęła na dziób i dziewczynka odbiła od brzegu.

Kiedy Pocahontas dotarła do wioski Parahunta, słońce było już wysoko. Brat przywitał ją ciepło i przedstawił swojej nowej żonie. Potem poszedł obok siostry w dół strumienia razem z Małą Wydrą.

Pozwoliła jej wyskoczyć z rąk w wody nowego domu. Parahunt śmiał się widząc, jak Mała Wydra zatacza szybkie kręgi, a potem nurkuje i turla się pod powierzchnią wody.

- Będzie tu szczęśliwa, tak jak i ja - powiedział Parahunt.

- Twoja żona jest cudowna - odrzekła Pocahontas. - Ale wygląda tak młodo.

- Jest tylko o dwa lata starsza od ciebie - odpowiedział. - Wkrótce, moja mała siostrzyczko, ojciec i dla ciebie znajdzie jakiegoś wielkiego wojownika z jednego ze swych szczepów i ogłosi wasze zaręczyny.

- Przecież jestem jego ulubioną córką. Ojciec powiedział, że będę szamanką i mogę sama rządzić własną wioską.

Parahunt uśmiechnął się. - Tak, to wszystko prawda. On jednak pragnie również, byś pomogła mu utrzymać siłę jego królestwa. Najlepiej możesz to zrobić wychodząc za mąż za wojownika, którego ci wybierze.

Niepokojące słowa brata nie opuszczały jej myśli przez cały następny dzień, kiedy wiosłowała w drodze powrotnej. Rozweseliła się jednak na widok Jamestown, gdzie postanowiła zostać przez kilka dni.

Odnalazła Johna Smitha w cieniu wieży obserwacyjnej, stawiającego swoje znaczki piórem w małej książce, którą nazywał dziennikiem. Jego twarz była spalona od słońca.

- Mała siostrzyczka! - wykrzyknął na powitanie. - Miałem przygody, o których chciałbym ci opowiedzieć! - Podwinął rękaw, by pokazać jej świeżą szramę na ramieniu.

- Co się stało? - zapytała.

- Wraz z Percym udaliśmy się na poszukiwania ryb łodzią, którą zbudowaliśmy. Spotkaliśmy inne plemiona: Rappahanncków i Susquehannów. Zabrali nas na połów oszczepami w ich rzece.

Złapaliśmy coś wielkiego i kiedy sięgałem, by to złapać, ucięło mnie swoim ogonem. To był trygon!

Pocahontas z przerażeniem przycisnęła rękę do ust.

Słyszała o tej potwornej rybie.

- Myślałem, że pewnie umrę - ciągnął. - Ramię spuchło i zrobiło się fioletowe. Palilo jak ogień. Kazałem ludziom kopać dla mnie grób i położyłem się obok niego. Potem jednak gorączka ustąpiła. Przenieśli mnie z powrotem do łodzi, abym wypoczął. I tego wieczoru zjadłem trochę tej przeklętej ryby! - Wybuchnął śmiechem, a Pocahontas śmiała się razem z nim.

Następnego dnia statek kapitana Newporta powrócił ze swej podróży do Anglii.

Pocahontas z radością przyłgnęła do swego przyrodniego brata, Namontacka i zasypała go pytaniami. Przedziwne, cudowne historie wprost wylewały się z niego, kiedy relacjonował wrażenia z krainy białych ludzi.

Kapitan Newport przywiózł też z sobą białe kobiety, pierwsze jakie Pocahontas widziała na własne oczy. Zaskoczyło ją, że John Smith mówił prawdę o ich strojach: Angielki nosiły spódnice, które u dołu miały szerokość większą niż drzwi!

Pocahontas zaprzyjaźniła się z kobietami, a także z nowym chłopcem o imieniu Henry. Żółte włosy Henry'ego były tak jasne, że prawie białe. Mimo jego cichości i nieśmiałości, Pocahontas udało się skłonić go do uśmiechu i rozmowy, kiedy zrobiła tylko dwie gwiazdy.

Tego wieczoru Pocahontas znalazła się wśród kilkorga gości z Jamestown na przyjęciu u kapitana Newporta na pokładzie statku. Był zaskoczony, jak dobrze nauczyła się języka angielskiego podczas jego nieobecności.

Po posiłku wyjął z kieszeni papier i podał Johnowi Smithowi.

Starszy Brat zachmurzył się czytając pismo i rzucił je na podłogę. Pocahontas zastanawiała się, cóż to mogła być za zła wiadomość.

- To może przynieść więcej szkody niż pożytku! - zamruczał John Smith.

- Obawiam się, że masz rację - odpowiedział kapitan Newport cicho. - Ale to nasz obowiązek.

Popatrzył na Pocahontas. - Moje dziecko, mamy wiadomość, którą powinnaś zanieść do domu.

Król Anglii przysłał dary dla twego ojca. Pragnie też uczcić wodza Powhatan koronując go na króla całego Chesapeake.

- To głupi pomysł! - wykrzyknął John Smith, waląc pięścią w stół. Pocahontas sądziła jednak, że wódz Powhatan zgodzi się.

W burzowy poranek, osiem dni później, Pocahontas znalazła się wraz z ojcem i starszymi wojownikami w "długim domu" w Comoco. Mokry od deszczu nadbiegł goniec z wiadomościami:

Anglicy są w drodze z Jamestown na uroczystość koronacji.

Chociaż Pocahontas wiernie przekazała przesłanie od króla Anglii, wszyscy zadawali wciąż to samo pytanie: Jak Powhatan może zostać koronowany na króla, skoro już jest królem?

Deszcz miotany wiatrem bębnił w dach "długiego domu". O tej porze Niszczący Wicher często dął znad Wielkiego Szarego Oceanu, przynosząc najgorsze sztormy w ciągu całego roku. W wiosce wszelkie pokrycia wigwamów z kory i skór, które nie były umocowane, już zostały zdmuchnięte. W lesie konary drzew niepokojąco trzeszczały i łamały się.

- Nie sądzę, by Brodaczom udało się tu dotrzeć - przewidywał Tatacoope. - Ten sztorm z pewnością będzie ich końcem, i ich osady także.

Po południu wiatr osłabł.

Następnego dnia zjawili się Anglicy: niektórzy przybyli leśnym szlakiem, inni na statku kapitana Newporta, który żeglował w górę rzeki. Wciąż zastanawiając się nad sensem tego wszystkiego, Pocahontas i całe plemię w Comoco zaoferowali przybyszom swą gościnność.

Pocahontas poczęstowała gości śliwkami i prażonymi ziarnami dyni.

Wielka ceremonia rozpoczęła się, kiedy angielski żołnierz zadął w metalowy błyszczący róg, zwany trąbką. Ryczący dźwięk, jaki wydał, zwołał wszystkich przed "długi dom".

Ludzie kapitana Newporta wnieśli największy dar dla wodza Powhatan: łóżko podobne do tych, jakie Pocahontas widziała w domach w Jamestown. To jednak miało zasłony obszyte złotą nicią, a jego rama była wykonana ze lśniącego, rzeźbionego drewna. Pocahontas wiedziała, że materac jest prawdopodobnie wypełniony pierzem. Kiedy wniesiono łoże, jeden z jej młodszych przyrodnych braci wskoczył na materac i zaczął podskakiwać, to

wywołało śmiech zarówno wśród Anglików, jak i Algonkinów. Pocahontas też miała ochotę poskakać, ale przypomniała sobie o swojej godności księżniczki.

Wtedy kapitan Newport przyniósł purpurową pelerynę. - Należała do samego króla Jamesa - powiedział.

Pocahontas przetłumaczyła informację dla swego ojca na język algonkiński. Nie powiedział ani słowa, kiedy kapitan włożył szatę na jego ramiona.

Przed Powhatanem stanęli dalsi żołnierze. Jeden z nich niósł ułożoną na dłoniach purpurową aksamitną materię. Na niej spoczywała srebrna korona.

Kapitan Newport podniósł koronę, a dwaj jego żołnierze stanęli u boku Powhatana i jego córki.

Kapitan powiedział do Pocahontas: Powiedz ojcu, żeby uklęknął.

Przetłumaczyła to Powhatanowi, lecz on spojrział na nią z niesmakiem. - Nigdy nie zgiąłem kolan przed żadnym człowiekiem - burknął.

- Może, ojcze, ten jeden raz mógłbyś to zrobić.

- Nie - zagrzmiął.

Pocahontas dostrzegła zniecierpliwienie na twarzach stojących obok żołnierzy.

- Ci biali nie są tak wysocy jak ty, ojcze. Czy mógłbyś tylko troszeczkę pochylić głowę do przodu, żeby łatwiej im było włożyć ci koronę?

- Wcale mi nie zależy na tej koronie - odpowiedział. - Już jestem potężnym Powhatanem, władcą Chesapeake!

Nagle jeden z żołnierzy złapał wodza od tyłu za ramiona i pochylił jego głowę do przodu.

Kapitan Newport szybko nałożył koronę.

Pocahontas cofnęła się z przerażenia. Nawet jego własni wojownicy nigdy nie odważyliby się położyć rąk na tak wielkim królu! Zanim jednak jej ojciec zdążył zareagować, inny biały żołnierz pomachał sztandarem. Na ten znak z armaty na statku rozległ się huk wystrzału.

Powhatan podskoczył, jakby został trafiony. Gdy jednak zobaczył, że nikomu nic się nie stało, zamknął usta, wyprostował ramiona i znowu przybrał dostojną postawę. Twarz miał śmiertelnie poważną i zachmurzoną, ale nic nie powiedział.

Pocahontas odetchnęła z ulgą.

Wreszcie dziwaczna ceremonia dobiegła końca.

Kiedy Anglicy odjeżdżali do domu, Pocahontas obiecała Johnowi Smithowi, że wkrótce znów odwiedzi Jamestown. - Zbliżają się zimowe chłody - dodała. - Lecz kiedy nadejdą, nadal będę przychodzić możliwie najczęściej, by zobaczyć, jak się miewacie.

Zanim zapadła noc, została wezwana do "długiego domu".

Ojciec siedział na tronie. Na twarzy wciąż miał ten sam kamienny wyraz, który zobaczyła pod koniec ceremonii.

Stanęła przed nim.

- Pocahontas - przemówił poważnie. - Nie będziesz więcej odwiedzać wioski Brodaczy. To głupi ludzie, którzy robią głupie rzeczy. Moja córko, nie jesteś już dzieckiem i nie możesz dłużej biegać beztrosko jak dziecko. Są nowe sprawy, które teraz musisz poznać i robić. Nie będziesz już mieć czasu dla białych ludzi.

Zabraniam ci chodzić do Tassen-tassees raz na zawsze.

Gdybyś do nich poszła, uznam to za zdradę. Jeśli w tej sprawie nie okażesz mi posłuszeństwa, wypędzę cię na zawsze sprzed mego oblicza.

Rozdział 13

Noc grozy

13. Noc grozy

Jeszcze dwukrotnie tej jesieni wiał Niszczący Wicher, za każdym razem po kilka dni. Nikt nie pamiętał tak strasznych wiatrów i deszczów. Pocahontas zastanawiała się, jak przetrwało Jamestown.

Quiyow tańczył i zawodził po całej wiosce. Mówił, że Okewas jest zły na ludzi i dlatego zsyła niezwykle burze.

Pewnego zimowego i wietrznego dnia Tatacoope powrócił leśnym szlakiem z Jamestown. Opowiadał, że widział więcej żaglowców.

Brodacze rośli w siłę.

Pocahontas starała się, by nikt się nie domyślił, jak bardzo ją cieszą te wiadomości.

Jednak tej nocy usłyszała w „długim domu”, jak Quiyow wyskrzeczwał swoje ostrzeżenie:

Jeżeli Brodacze nie zostaną szybko przegnani, Okewas zażąda następnych ofiar. Słowa szamana zmroziły jej serce bardziej niż Niszczący Wicher, który hulał w ciemnościach na zewnątrz.

W miarę upływu zimy Pocahontas słyszała coraz więcej relacji od wywiadowców ojca. W całej krainie Chesapeake Brodacze odwiedzali wszystkie wioski i próbowali prowadzić z nimi handel. Jednak wódz Powhatan zabronił teraz wszelkich transakcji z Tassen-tassees.

W którejś z wiosek mieszkańcy przyjęli miedź i paciorki od Johna Smitha i jego ludzi, lecz w zamian nie dali kukurydzy.

Nantaquod podłożył więc ogień pod ich „długi dom”.

Pocahontas pomyślała, że Starszy Brat jest coraz bardziej zdesperowany. Nie pamiętała tak ostrych mrozów na początku zimy; nawet rzeka pokryła się lodem.

Dziewczynka była rada, że Quiyow nie tańczy i nie zawodzi dokoła, winiąc Brodaczy za mrozy i bardzo pragnęła zanieść coś w darze przyjacielom z Jamestown.

Pewnego ranka zobaczyła ojca wydającego instrukcje Thomasowi, białemu chłopcu przysłanemu przez kapitana Newporta, by służył wodzowi Powhatanowi.

Thomas owinięty był w płaszcz z króliczego futra. Przytaknął ojcu i wyszedł z wioski.

Trzy dni później wraz z Kahnessą pilnowały ognia na palenisku, grzejąc się przy jego ciepłe. Tuliły się do siebie pod futrzanymi derkami.

W pewnej chwili Pocahontas spojrzała znad ogniska i zobaczyła wracającego Thomasa.

Było z nim kilku Brodaczy.

Nieśli narzędzia, długie kawałki drewna, a nawet szkło okienne.

Opuściła przytulny ogień i podeszła do Thomasa. - Co to wszystko znaczy? - zapytała go.

Thomas odpowiedział, że był w Jamestown z wiadomością. Wódz Powhatan wyraził gotowość handlowania z białymi ludźmi.

Chciał, żeby Brodacze wybudowali mu angielski dom tutaj, w Comoco. W zamian obiecał dać im po ukończeniu domu całą barcę kukurydzy.

- W związku z tym wkrótce kapitan Smith wyruszy w górę rzeki na swej barce - dodał Thomas, zanim pobiegł zdać relację wodzowi Powhatanowi.

Pocahontas usiłowała pozbyć się ucisku w żołądku i niepokoju, które odczuwała.

Przez następne dwa dni przyglądała się, jak biali ludzie pracowali przy budowie domu. W miarę jak nabierał kształtu, uznała, że nie wygląda tak pięknie jak domy w Jamestown. Miała wszakże nadzieję, że ojcu się spodoba.

Następnego dnia na środku skutej lodem rzeki pojawiła się barka. Chyba uwięzła. Mieszkańcy wioski wylegli na nabrzeże, by popatrzeć. Wkrótce ujrzeli Brodaczy zmierzających do brzegu. Usiłowali kroczyć po kawałkach lodu, lecz czasami zapadali się po piersi w wodzie.

Algonkinowie zbudowali nad rzeką schronienie z pni i gałęzi, z ogniskiem w środku i zapasem mięsa dla trzęsących się z zimna białych mężczyzn.

Zachowując posłuszeństwo wobec ojca, Pocahontas trzymała się z dala od przyjaciół.

Kiedy zapadły ciemności, wódz Powhatan przywołał swą ulubioną córkę. Kazał jej pójść do schronienia Brodaczy i zaprosić Johna Smitha na spotkanie z nim w "długim domu". Poprosił, by Pocahontas była także obecna, lecz ona nie odzywała się.

Kiedy się odwróciła, by wyjść, Powhatan wymówił jej imię.

- Tak, ojczyste?

- To jedyny raz, kiedy pozwalam ci iść do Tassen-tassees. Nie wolno ci tego zrobić nigdy więcej, rozumiesz?

- Tak, ojciec.

Pocahontas poszła do szałasu i bez słowa przyprowadziła Johna Smitha.

Wódz Powhatan rozpoczął spotkanie z Nantaquodem zaskakującym pytaniem: - Po co przybyliście do nas?

- Przyjechałem, ponieważ posłałeś po mnie - odpowiedział Starszy Brat. - Moi ludzie budują dla ciebie angielski dom, a ja przyprowadziłem barkę, by zabrać kukurydzę, którą obiecałeś w zamian.

Powhatan roześmiał się. - Nic takiego nie obiecywałem. Jeśli chcesz kukurydzy, musisz za nią zapłacić. Jeden miecz albo jedna strzelba za każdy kosz ziarna.

Twarz Johna Smitha poczerwieniała. - Wielki wodzu - odrzekł. - Mówiłem ci, że nie mam słów do stracenia ani strzelb na zbyciu.

- Każdy z was ma miecz albo strzelbę - upierał się Powhatan.

- Nie mogę dłużej godzić się na to, byście nosili je w Comoco.

Musicie mi je oddać, teraz.

John Smith podniósł głos. - Ja przecież nigdy nie proszę twoich ludzi, by oddali mi swoje łuki, strzały i oszczepy, kiedy przychodzą do Jamestown!

- Daj mi waszą broń - żądał Powhatan - albo wszyscy będziecie musieli zaraz wrócić po łodzi do swojej barki.

Pocahontas była przekonana, że John Smith nigdy nie ulegnie takiemu żądaniu. Miała jednak pewność, że i ojciec wie o tym.

Dlaczego Powhatan ciągnie ten spór? Co usiłuje osiągnąć?

Ojciec wstał. - Jutro pożyczę wam trochę kukurydzy - oznajmił.

- Ale będziecie mi za to dłużni.

- Zanim John Smith mógł odpowiedzieć, ojciec zszedł z tronu i wyszedł.

Tej nocy Pocahontas nie mogła usnąć. Nie potrafiła uwolnić się od troski o bezpieczeństwo przyjaciół. Cóż jednak mogła dla nich zrobić?

Następnego ranka owinęła się cała futrem z lisa. Wdrapała się na drzewo wysoko na brzegu w górze rzeki, aby móc obserwować.

Nic chyba się jednak nie działo.

Biali ludzie zostali w ciepłym swym schronieniu, podobnie jak jej plemię wewnątrz wioski.

Pocahontas była tak zmęczona, że kilka razy zamykała jej się oczy i zasypiała.

Dopiero późnym popołudniem zobaczyła wojowników Powhatana niosących kosze pełne kukurydzy do szałasów białych. Wojownicy nie zaproponowali pomocy w załadunku ziarna na barkę.

Patrzyła jak mężczyźni zaczęli nosić kosze przez lód i wodę, jednak noc zapadła na długo przed zakończeniem ich pracy.

Widziała na pół mokrych mężczyzn rozpalających kolejne wielkie ognisko w swoim schronieniu nad rzeką. Wyglądało na to, że Brodacze chcą tam spędzić następną noc.

- Pocahontas!

Spojrzała w dół. Było już tak ciemno, że z trudem rozpoznała Namontacka stojącego poniżej. To on wyszeptał jej imię. Szybko zsunęła się z drzewa. Mówił do niej bardzo cicho, i w dodatku po angielsku.

- Brodacze są w ogromnym niebezpieczeństwie!

- Tego się obawiałam - odparła. - Czy znasz plany ojca?

- Słyszałem tylko trochę, jak rozmawiał z Tatacoopem. Później, w nocy, kiedy ciemność będzie głęboka, zanoszą im do szałasów mięso. Kiedy Brodacze odłożą broń i zajmą się jedzeniem, nasi wojownicy ich zaatakują.

Pocahontas raz jeszcze skierowała wzrok na schronienie, które obserwowała przez cały dzień. Przez szpary pomiędzy pniami i gałęziami mogła dostrzec blask rozgrzewającego ogniska.

Nie potrafiła dłużej trzymać się z boku.

- Pójdę ich ostrzec - powiedziała do Namontacka. - Idź od razu i powiedz Kahnessie co robię. Pilnujcie mnie we dwójkę, gdy będę przemykać wzdłuż brzegu do szałasów. Rozmawiajcie ze sobą przy bramie. Jeśli zobaczycie coś, co mogłoby być dla mnie niebezpieczne, gdyby wojownicy z mięsem wyruszyli, zanim do was wrócę, niech Kahnessa zacznie się śmiać z czegoś, co powiesz.

Musi śmiać się tak głośno, bym usłyszała ją nad rzeką.

Po ustaleniu planu Pocahontas natychmiast wyruszyła. Z wioski słyszała radosne głosy swoich współplemieńców, kiedy wyciągali upieczone mięso z palenisk.

Dochodziły do niej także głosy Brodaczy i trzaskanie ognia z wnętrza ich schronienia.

Słyszała bicie własnego serca, które waliło jak młot. Ale jej stopy w mokasynach były ciche. I nie słyszała ostrzegawczego śmiechu Kahnessy.

Prawie bez tchu wsunęła się do szałasów i zobaczyła zaskoczone twarze białych. Szybko odnalazła Johna Smitha siedzącego wraz z innymi wokół ogniska. Mężczyźni natychmiast uciszyli się tak, że słyszeli jej szept.

- Mój ojciec zamierza przynieść wam w nocy żywność i zabić was, kiedy będziecie jeść.

Musicie uciekać. Natychmiast!

John Smith podbiegł do niej. - Mała księżniczko, z pewnością ryzykowałam życiem, by nas ostrzec. Jak mam ci dziękować?

Jego oczy napęłniły się łzami.

Sięgnął do szyi i zdjął rzemyk, na którym wisiał kompas.

- Nie, Starszy Bracie. Nie ośmieliłabym się pokazać z czymkolwiek, co należy do ciebie. - Czuła, że łzy płyną jej po policzkach, ale nie zważała na to, że wszyscy ci mężczyźni widzą ją płaczącą.

- Starszy Bracie - łkała. - Obawiam się, że już nigdy się nie zobaczymy!

Zmusiła się, by się odwrócić i wyjść z szałas. Ostrożnie i powoli wróciła brzegiem rzeki.

Kilka chwil później Kahnessa i Namontack zobaczyli ją idącą przez wioskę do swego wigwamu.

Położyła się na swojej macie i przykryła lisim futrem, które grzało ją przez cały dzień spędzony na drzewie.

Weszła matka z jej małym braciszkiem. Zaproponowała jedzenie, lecz Pocahontas nie mogła jeść. Przyszła też Kahnessa. Wkrótce wszyscy zasnęli.

Pocahontas jednak nie spała.

Czekała i nasłuchiwała.

Ile czasu musi upłynąć, by miała pewność, że Brodacz są bezpieczni? Czy wojownicy ojca podążą za nimi, kiedy się przekonają, że szałas jest pusty? Czy Starszy Brat i jego ludzie będą w stanie uwolnić barkę z lodu i odpłynąć?

Nigdy przedtem nie czuła się tak zmęczona, ale wciąż nie mogła zasnąć.

Wtedy, po raz drugi od ostatniego zachodu słońca, usłyszała wyszeptane swe imię:

Pocahontas!

Pełna obaw wyszła z wigwamu.

To był biały chłopiec, Thomas.

Pokazał, by poszła za nim.

Obezwładniała ją niepewność, ale stąpała za chłopcem w milczeniu. Wreszcie wyszli poza wioskę. Tam stał Remcoe i Brodacz, którego nie знаła.

- Miałem dziś zachodnią wartę - powiedział Remcoe. - Nie chciałem brać udziału w ataku na Tassen-tassees. Jednak ten Brodacz przyszedł właśnie leśnym szlakiem i pyta o Johna Smitha.

Kahnessa powiedziała mi, co zrobiłaś. Nie chciałem więc wpuszczać go do wioski. Co powinniśmy z nim zrobić?

Pocahontas zwróciła się do białego po angielsku. - Kim jesteś? Po co tu przyszedłeś? Dlaczego się tu znalazłeś?

- Richard Wiffin - odpowiedział. - Mielśmy wypadek w Jamestown. Zatonęła jedna z naszych łodzi rybackich i straciliśmy jedenastu ludzi.

Przyszedłem powiadomić kapitana Smitha, by dłużej tu nie zwlekał.

- Nie będzie - odparła Pocahontas. - Wyruszył dziś wieczorem w drogę powrotną do Jamestown na swojej barce. - Głośne wymówienie tych słów nappełniło Pocahontas pewnością i spokojem. Tak, na pewno Starszy Brat był teraz bezpieczny.

- Ty także jesteś w niebezpieczeństwie, jeśli zaraz nie odejdziesz - powiedziała Brodaczowi.

- Remcoe, wypraw go z powrotem na szlak. A ty, Thomas, pospiesz do strażnika na wschodniej warcie. Powiedz, że słyszałeś tam jakieś głosy, żeby go zmylić.

Nie padły więcej żadne słowa.

Pocahontas została sama.

Spojrzała na niebo, wschodził księżyc, widoczna była połowa jego kuli. Modliła się: „Boże-Stwórco, spraw, by to światło księżyca wskazywało Johnowi Smithowi i jego ludziom na barce, a także Brodaczowi na leśnym szlaku, drogę do domu.”

Już w wigwamie i wreszcie gotowa do snu, księżniczka zastanawiała się, jak bardzo przeciwstawiła dziś swego ducha woli ojca. Czy on kiedykolwiek się dowie?

Następnego ranka obie z Kahnessą spały dłużej niż zwykle. Razem poszły do rzeki, by zanurzyć się pomiędzy pływającymi kawałkami lodu, a potem zawinęły swe trzęsące się z zimna ciała w futrzane płaszcze. Ranek był ostry i zimny, ale niebo czyste i słońce obiecywało ciepło. Usiadły na chwilę w jego promieniach, zanim pomału powędrowały z powrotem.

W wiosce zaskoczył je widok kobiet otaczających ich wigwam.

Przecisnęły się przez krąg.

Tatacoope wyciągał nieliczne rzeczy Halewy i wyrzucał je na ziemię.

- Co robisz? - krzyknęła Kahnessa.

- Nasz ojciec odprawił Halewę - odpowiedział szyderczym tonem.

- Razem z synkiem została zabrana w czółnie do Potomac, wioski, z której pochodzi. Już odpłynęli.

Pocahontas i Kahnessa popatrzyły na siebie porozumiewawczo.

- Wasza matka nie należy do tego samego szczepu, co potężny Powhatan i jego dumni wojownicy - ciągnął Tatacoope. - Jej lud zawsze był słaby i łagodny.

Odchodząc spojrzął na Pocahontas. - A ty musisz być jej krwi, skoro masz taką słabość do śmierdzących Taseen-tassees, i głupich wydr!

Krąg kobiet rozsunał się, zostawiając Kahnessę i Pocahontas same. Obie dziewczynki wpadły do wigwamu i rozszlochały się na swoich matach.

- Odesłał ją przeze mnie - stwierdziła Pocahontas. - Ojciec wie, co zrobiłam, ale nie może tego udowodnić, więc wyrzucił Halewę zamiast mnie.

W ciągu następnych dni, kiedy wszyscy szykowali się na zimową wyprawę do obozu łowieckiego, mieszkańcy wioski odzywali się do Pocahontas jedynie w sprawach koniecznych. Nikt nie powiedział jej nic o matce.

Wódz Powhatan nawet nie spojrzął w jej kierunku.

Pocahontas doskonale wyczuwała jego złość. To była zimna złość, tak lodowata jak zimowe noce, kiedy z Kahnessą tuliły się w swym wigwamie.

W dniu, kiedy mieszkańcy wioski mieli wyruszyć do obozu łowieckiego, ojciec przysłał do niej Thomasa z wiadomością: "Nie wolno ci iść do obozu. Masz zostać ze staruszkami i maluchami."

Patrzyła bez słowa jak inni - Remcoe, Kahnessa, Namontack, Nagoon, Kewelah, i pozostali - odchodzili szlakiem w Góry Błękitnej Mgły. Przrzekła sobie, że wytrzyma tę próbę. - „Jeżeli tylko będę silna - mówiła do siebie - to któregoś dnia gniew ojca minie. Kiedyś znów się do mnie uśmiechnie.”

Rozdział 14

Ucieczka

14. Ucieczka

Pocahontas dzielnie wytrzymała samotność w mijające najmroźniejsze dni zimy. Pewnego dnia mieszkańcy wioski powrócili z obozu łowieckiego.

Ojciec po powrocie nie odzywał się często do Pocahontas, ale przynajmniej nie czuła w jego gniewie takiego lodu.

Nadeszła wiosna i zaśpiewano Pieśń Siewu, chociaż tym razem Pocahontas nie słyszała śpiewu Halewy. Potem nastąpiło lato, rozległa się Pieśń Zbierania Jagód, ale nadal nie budziło jej nucenie matki.

Tego lata Parahunt złożył wizytę w wiosce. Jako wódz innej wioski, został przywitany uczcią w Comoco. Wybrał się z Pocahontas na spacer brzegiem rzeki. Odwiedził matkę i przekazał Pocahontas, że miewa się dobrze. Podobnie Mała Wydra, dodał. Powiedział też siostrze, że Nantaquod buduje dom z pni i karczuje las w pobliżu wioski Parahunta.

- Mam jeszcze jedną wiadomość: ojciec wybrał dla ciebie przyszłego męża.

Pocahontas poczuła dławienie w gardle. Walczyła z sobą, nim zapytała: - Któż jest tym mężczyzną wybranym przez mego ojca?

- To wojownik, którego nie znasz. Nazywa się Kokum, pochodzi z plemienia Paspegów naszego wuja Opecha. Jest mężem wielkiej odwagi. Walczył dzielnie w naszych najazdach na Irokezów. Tak, jest silny duchem - może nawet wystarczająco silny, by dorównać tobie! - Parahunt zachichotał ze swej własnej uwagi, Pocahontas jednak miała nadzieję, iż zauważy, że ona wcale się nie śmiała.

Jego głos stał się łagodniejszy. - Z pewnością ojciec pozwoli ci go wkrótce poznać.

- Gniew wodza Powhatana musi być wciąż bardzo wielki - odpowiedziała zimno - skoro nawet nie porozmawia z córką o jej własnych zaręczynach.

Parahunt już nic więcej na ten temat nie powiedział.

Pewnego jesienno-rannego ranka, kiedy drzewa leśne przybrały swe najjaśniejsze odcienie żółci i czerwieni, Pocahontas była poza wigwamem i cięła mięso sarnie na długie, wąskie

paski. W pobliże wioski zawędrowała sarna i Remcoe zastrzelił ją z łuku. Po pocięciu mięsa Pocahontas posolił je i wysuszył, żeby zrobić zapasy na zimę. Wcześniej tę pracę wykonywała zawsze z Halewą i tego ranka jej myśli wciąż wracały do matki.

Wtem usłyszała młode głosy mówiące po angielsku i zdziwiona podniosła wzrok. Thomas rozmawiał z Henrym, białowłosym chłopcem, którego poznała w Jamestown.

- Henry, co tutaj robisz? - zagadnęła.

- Spędzam czas z Thomasem, zanim przybędą tu inni - odparł.

- Jacy inni?

- Ludzie z Jamestown, w barkach. Przywiozła miedź i materiały, by wymienić je na kukurydzę, którą obiecał Powhatan.

- Ale kiedy mój ojciec złożył taką obietnicę?

Tym razem odpowiedział Thomas.

- W ubiegłym tygodniu zaniósłem wiadomość do Jamestown. Wódz Powhatan mówi, że teraz naprawdę jest gotów handlować.

- Ale John Smith nigdy by nie pozwolił swoim ludziom znów tego próbować. Nie po tym, jak zostali oszukani ostatnim razem.

- Och, więc nic nie słyszałaś?

- zapytał Henry. - nie ma już kapitana Smitha. Wrócił do Anglii.

- Do Anglii!? Dlaczego?

- Został ranny przy wybuchu prochu strzelniczego. Miał poważne poparzenia na całej ręce.

Thomas obiecał Henry'emu pokazać wioskę i chłopcy pobiegli dalej.

Pocahontas odłożyła pracę.

Popędziła do swego ulubionego zakątka i usiadła. "Och, Boże-Stwórco - modliła się - pomóż Johnowi Smithowi. Spraw, by już więcej nie cierpiał."

Wtedy otworzyły się jej wszystkie rany i dziewczynka zalała się łzami. Dlaczego tak wielu spośród tych, których kochała, musiało być zabranych tak daleko?

Nie było jednak sensu zadawać takiego pytania. To nie sprowadzi z powrotem Halewy ani Małej Wydry, ani Starszego Brata. Zmusiła się do myślenia.

Skoro w Jamestown nie ma z nimi Starszego Brata, Tassen-tassees mogą postępować z wielką głupotą. Może ojciec wiedział, że John Smith wyjechał, więc zastawił na Brodaczy taką samą pułapkę, jakiej próbował ostatniej zimy.

Pocahontas zdecydowała, że musi wrócić do wioski i bacznie obserwować, i być przygotowana na zrobienie wszystkiego, co będzie mogła.

Modliła się, by Bóg-Stwórca dał jej siły.

Następnego dnia najgorsze koszmary stały się rzeczywistością. Obudził ją dźwięk wojennych bębnow.

Widziała Quiyowa, jak przez cały ranek chodził po wiosce dumny jak paw i puszył się zawodząc.

Zobaczyła, że Thomas i Henry zostali wrzuceni do wigwamu i tam zatrzymani. Wojownicy Powhatana pomalowali się na barwy wojenne i wydawali swe bojowe okrzyki. Przybyli też wojownicy z innych wiosok, aby przyłączyć się do nadchodzącej bitwy.

Kiedy bębny, zawodzenie i pieśni wojenne rozbrzmiewały w jej uszach, okropny strach Pocahontas zaczął przemieniać się w gniew. Była zła na ojca i na Okewasa - Boga Wojny - i na wszystkich, którzy mu służyli.

To przez nich rzeka stanie się wkrótce czerwona od krwi.

Nie mogła znieść widoku tego wszystkiego, ani też znaleźć sposobu, aby się temu przeciwstawić. Jedyne, co mogła zrobić, to uciec.

Po zachodzie słońca walenie w bębny i tańce stawały się coraz bardziej dzikie. Ona i Kahnessa były w wigwamie same, a w ich uszach dudniły dźwięki zbliżającej się wojny. Kiedy zapadły całkowite ciemności, Pocahontas zaczęła wrzucać swe drobiazgi do koszyka.

- Co robisz? - zapytała Kahnessa.

- Idę zobaczyć się z matką.

Zamieszkać z jej ludem w Potomac. Nie mogę tu dłużej zostać.

- Rozumiem - odpowiedziała Kahnessa. - Ja jednak muszę zostać z Remcoe'm.

Siostry ucałowały się, a potem Pocahontas wyszła. W ciemnościach bezksiężycowej nocy szybko wymknęła się z wioski, która zawsze była jej domem.

Poszła na północ, w kierunku przeciwnym do Jamestown.

Pięć zachodów słońca później Pocahontas pomagała mleć kukurydzę przy wigwamie swej matki w Potomac. Podniosła wzrok znad kamienia, przy którym klęczały obie z matką i zobaczyła Parahunta.

Pocahontas wstała, brat podszedł i uścisnął ją na powitanie.

- Kahnessa powiedziała mi, że tu jesteś, mała siostrzyczko.

Nie mówił nic więcej, więc cicho zapytała:

- Jakie masz wieści o bitwie?

Parahunt odpowiedział poważnie. - Dwie pełne łodzie Brodaczy przybyły z Jamestown z zamiarem wymiany towarów.

Czekała na nich zasadzka naszego ojca. Naszych ludzi zginęło zaledwie kilku, ale spośród Tassen-tassees wzięto sześćdziesiąt skalpów.

Pocahontas zakryła oczy, nogi się pod nią ugięły.

Sześćdziesiąt skalpów! Nigdy nie słyszała o bitwie, w której byłoby tylu zabitych. I na pewno nigdy nie zmarło jednocześnie tyle znanych jej osób. Przecież tych właśnie mężczyzn uczyła uprawiać kukurydzę i podawała im zioła, kiedy chorowali.

- Tylko jeden Anglik się uratował - dodał Parahunt. - I wzięto do niewoli małego chłopca.

- Co zrobią z dzieckiem? - zapytała Pocahontas.

- Nie wiem. Na razie jest z dwoma białymi chłopcami, którzy już wcześniej przebywali w wiosce.

Halewa wciąż jeszcze klęczała przy kamieniu do mielenia. - To może się okazać niebezpieczne dla tych trzech chłopców - powiedziała, powoli wstając. - Teraz nastąpią kolejne bitwy. A przed walką Okewas będzie żądać dalszych ofiar. - Potrząsnęła głową i weszła do wigwamu.

- Chodź, siostrzo - powiedział Parahunt. Smutek spowodował, że Pocahontas czuła się bardzo zmęczona, ale poszła za bratem.

W pobliżu bramy Parahunt zagwizdał na jednego ze swych wojowników, którzy z nim przyszli. Mężczyzna wziął jakiś koszyk, przyniósł go bliżej i postawił u jej stóp.

- Mała siostrzyczko - rozpoczął uroczyście Parahunt. - Dobry przyjaciel pragnie cię uczcić - sięgnął do kosza i podniósł jego pokrywę.

Wyskoczyła znajoma, błyszcząca główka.

- Mała Wydra! - wykrzyknęła dziewczynka. Zwierzątko wskoczyło na jej rękę i zaszczechało szczęśliwe na powitanie.

Parahunt roześmiał się i powiedział do siostry: - Twój nowy dom może być i dla niej nowym domem.

Następnego wieczoru Pocahontas przebywała z Małą Wydrą, przyglądając się jak zwierzątko bawi się w już trzeciej rzece w ciągu swego krótkiego życia.

Dobrze było mieć znów blisko siebie to stworzonko, które tak bardzo zdawało się przypominać duchem ją samą. Pocahontas postanowiła, że musi się nauczyć być bardziej podobna do wydry.

Nigdy zmęczona i nigdy przestraszona, szybka i odważna.

Parahunt odszedł tego ranka. W umyśle Pocahontas wciąż jednak rozbrzmiewały wiadomości, jakie przyniósł o trzech białych chłopcach zatrzymanych w Comoco i ostrzeżenie matki.

- Postanowiłam coś zrobić - zawołała do swego zwierzątka, kiedy pływało pętlami po powierzchni. - Muszę być jak ty niestrudzona i nieustraszona, szybka i odważna.

Mała Wydro, znam trzech chłopców, którzy mieliby ochotę pobawić się z tobą. Chcę ich tu przyprowadzić, by zamieszkali z nami. Czy myślisz, że powinnam to zrobić?

Mała Wydra podpłynęła do niej z nosem w powietrzu. Krótko szczeknęła.

Pocahontas uznała, że to oznaczało "tak".

Kilka dni później Pocahontas dołączyła do orszaku dwudziestu wojowników i dziewcząt niosących żywność z Potomac do Comoco.

Była to pora składania dla wodza Powhatana darów z plonów ze wszystkich wiosek.

Kiedy weszli do Comoco, Pocahontas odłączyła się od swych nowych współplemieńców i pobiegła przywitać się z Kahnessą. Wkrótce dołączył do nich Remcoe.

- Mądre kobiety z wioski wyznaczyły dzień naszego ślubu - powiedział do Pocahontas. - Kahnessa zostanie moją żoną przed nowym księżycem. Czy mogłabyś zostać z nami aż do ślubu?

Zanim zdołała odpowiedzieć, padł na nich jakby cień.

Odwrócili się i zobaczyli Quiyowa wpatrującego się w nich z odległości zaledwie trzech kroków. Pocahontas puściła rękę siostry. Pomyślała, że szaman był bardziej pochylony, pomarszczony i wstrętny niż kiedykolwiek. Jego wąskie oczy znajdowały się na tej samej wysokości co jej.

Po raz pierwszy w życiu przemówił bezpośrednio do niej.

- Po co tu przyszedłeś?

Odpowiedziała głośno, żeby wszyscy wokół słyszeli. - Przyszedłam z darami plonów z Potomac. Czy nie jest dobrze, że przybyłam złożyć swojej siostrze najlepsze życzenia? Przecież zbliża się dzień jej ślubu.

Oczy Quiyowa zwęziły się jeszcze bardziej. Odwrócił się i odszedł.

Następnego wieczoru Kahnessa i Pocahontas przebywały razem z trójką białych chłopców.

Wspólnie jedli posiłek z mięsa wiewiórki i placki kukurydziane.

Oprócz Thomasa i białowłosego Henry'ego był też Samuel. On i Thomas byli pierwszymi białymi rówieśnikami Pocahontas, których spotkała dawno temu w Jamestown.

Samuel wciąż jeszcze nie otrząsnął się z szoku po krwawym napadzie wojowników Powhatana, którego był świadkiem. Z trudem odpowiadał Pocahontas, chociaż mówiła łagodnie i powoli.

- Czy któryś z was się boi? - zapytała chłopców.

- Tak - odrzekł Henry. - Nie wiemy, co się z nami stanie, jeśli ta wojna jeszcze potrwa.

- Jutro wracam do mojego nowego domu w Potomac. Mam tam oswojoną wydrę. Jeżeli chcecie, możecie pójść ze mną i zobaczyć ją. Możecie nawet z nami zamieszkać, jeśli się wam spodoba.

Samuel zdobył się na słaby uśmiech. - Nigdy nie widziałem wydry.

Rano trzech angielskich chłopcy ustawili się w szeregu z Pocahontas i szczepem Potomac, kiedy przygotowywali się do drogi.

Na skraju wioski znowu się pojawił stary szaman. Miał skrzyżowane ręce i z uszu zwisały mu żywe węże. Zastąpił im drogę na ścieżce i przemówił do Pocahontas. - Dokąd idą ci biali chłopcy?

- Odwiedzić mnie w Potomac - odpowiedziała spokojnie. - Opowiedziałam im o mojej wydrze i chcę ją zobaczyć.

Oczy Quiyowa wpatrywały się w nią badawczo. Zszedł jednak o krok ze ścieżki i przepuścił ich.

W czasie podróży Pocahontas i chłopcy zostali na końcu grupy.

Dziewczynka wciąż spoglądała za siebie. Nie uszli daleko, gdy poczuła pociągnięcie za rękaw.

Był to Henry.

- Thomas zawrócił! - powiedział.

Jak to możliwe? Spojrzała znowu na szlak za nimi. W zasięgu wzroku nigdzie nie było Thomasa. Zbyt niebezpiecznie jednak byłoby teraz zawrócić i szukać go.

- Tak - powiedziała uspokajająco do Henry'ego. - Pewno zawrócił, bo tak długo już mieszkał w Comoco, że nie chciał go opuszczać. Albo czegoś zapomniał i dogoni nas później.

Chodźmy dalej!

W jakiś czas później szepnęła do Henry'ego i Samuela. - Gdyby coś się stało, coś było nie w porządku, koniecznie biegnijcie naprzód, nie z powrotem do Comoco.

Zaledwie wypowiedziała te słowa, gdy mrozący krew w żyłach wrzask odbił się echem po lesie.

Na szlaku za nimi pojawił się Quiyow, któremu towarzyszyli dwaj kapłani Boga Wojny.

Wrzeszczeli i wymachiwali tomahawkami i nożami. Ludzie z Potomac zeszli ze szlaku. Nie ośmieliliby się przeciwstawić kapłanom Okewasa.

Pocahontas popchnęła Henry'ego i Samuela naprzód. Henry wpadł między drzewa i szybko zniknął.

Samuel biegł szlakiem krzycząc, jednak jeden z młodych kapłanów podążył za nimi i cisnął tomahawkami. Krzyk Samuela ucichł natychmiast i chłopiec padł martwy na ścieżkę.

Wtedy Quiyow i dwaj kapłani rozplynęli się w cieniu.

Pocahontas mogła tylko krzyczeć z żalu i wściekłości.

Zbliżał się już wieczór, kiedy odnalazła Henry'ego w lesie.

Leżał oszołomiony i drżący pod zwałonym pniem. Wzięła go za rękę i podniosła. - Chodź ze mną, obiecuję, że będziesz bezpieczny. - Otoczyła go ramionami, by go uspokoić i ogrzać, zanim wyruszyli w dalszą drogę do Potomac.

Cicho ślubowała sobie, że nigdy więcej nie dopuści do tego, żeby znaleźć się tak blisko starego szamana.

Rozdział 15

Porwanie

15. Porwanie

Otoczając ramionami gładki pień drzewa klonowego, Pocahontas wpatrywała się w rzekę. I tutaj po upływie tak długiego czasu, do jej cichej wioski Potomac zawinęła Łabędzia Łódź. Co to mogło oznaczać?

Przez wiele księżyców dziewczynka nie widziała żadnego z tych statków. Przez ponad trzy lata nie spotkała ani jednego Brodacza. Zdawało się, że minęła cała wieczność, odkąd pomogła białym uciec z Comoco tamtej zimowej nocy; gdy żegnała się ze swym Starszym Bratem w szałasie na brzegu rzeki i widziała ciepłe płomienie odbijające się w jego łzach.

Jedyną bladą twarzą, jaką widziała w ciągu tych ostatnich trzech lat, było oblicze Henry'ego - uśmiechniętego, białowłosego Henry'ego, który wciąż jeszcze mieszkał tu, w Potomac. Henry stał się jednym z jej ulubionych towarzyszy, wraz z mamą Halewą i Małą Wydrą, a także chartem Kintem, którego ojciec przysłał jej w podarunku.

Wodza Powhatana nie widziała przez te trzy lata. Nawet kiedy przychodziła do Comoco w odwiedzin, nie spotykała go.

Przeprowadził się do odległej wioski Rassa-wack i uczynił z niej stolicę swego królestwa.

Tę wiadomość usłyszała od Parahunta, który był częstym gościem w Potomac. Opowiadał jej o ciągle trwającej walce z Brodaczami. W jednej z bitew został zabity Kokum, wojownik, którego ojciec wybrał dla niej na męża. Podobnie zginęli Tatacoope i Namontack.

Parahunt z podziwem mówił o tym, jak potężni stali się biali ludzie. Wiele z algonkińskich wiosek i pól zostało spalonych, a ludzie wyrzuceni ze swoich wigwamów. Anglicy nie potrzebowali już chyba handlować z Algonkinami dla ich kukurydzy.

To, czego teraz chcieli najbardziej, to więcej ziemi.

Założyli wiele nowych osad i uprawiali wiele nowych pól.

Pocahontas przycisnęła policzek do gładkiej kory klonu.

Wydawała się tak daleka od tych wszystkich wielkich zmian, o których opowiadał Parahunt.

Czyżby te ważne wydarzenia nadchodziły także tutaj, do Potomac?

Usłyszała, że ktoś zbliża się od strony wioski. Opuściła ramiona i spojrzała za siebie.

To był Jopassus, młody wojownik, który miał pewnego dnia zostać wodzem ludu Potomac.

- Pocahontas - zawołał - chcę cię o coś poprosić.

- O co chodzi, Jopassus?

Wskazał kołyszącą się na rzece Łabędzią Łódź. - Dowódca statku Tassen-tassees zaprosił mnie, by go odwiedzić. Moja żona też bardzo by chciała pójść, ale boi się być jedyną kobietą na statku. Pocahontas, czy pójdziesz z nami?

Pocahontas spojrzała znowu na żaglowiec. Może to nierozsądnie ponownie wkraczać w życie białych ludzi. Może to przyniesie jedynie więcej smutku.

Jopassus nalegał. - Nie masz się czego obawiać! Widziałas już te wszystkie dziwne i cudowne rzeczy, które mają Tassen-tassees. Wiesz o nich wszystko. Czy pójdziesz z nami, Pocahontas, żeby moja żona się nie bała?

„Rzeczywiście, byłoby dobrze, gdyby zaczął znikać wzajemny strach między Algonkinami i Brodacami - pomyślała Pocahontas. - Gdyby usunąć choć część obaw, może byłoby także mniej walk.”

- Tak, Jopassus. Pójdę, by sprawić przyjemność twojej żonie, ale tylko z krótką wizytą.

Później, kiedy podpływali do statku, Pocahontas znowu ogarnęły wątpliwości, czy powinna iść na to spotkanie.

Jedno było pewne, żona Jopassusa wcale nie wyglądała na przestraszoną.

Kiedy wprowadzono ich z łódki na statek, wysoki mężczyzna przedstawił się jako kapitan Argall. Zdjął kapelusz z dziwnym piórem i pochylił się, by ucałować jej rękę.

- Księżniczko Pocahontas - powiedział głośno - zaszczytasz nas swoją obecnością!

Zaprowadził ją do kajuty, gdzie zaproponował kieliszek czegoś, co nazwał „najlepszym z win”. Pocahontas zastanawiała się, gdzie się podzieli Jopassus i jego żona.

- Naprawdę wyrosłaś na piękną damę - powiedział kapitan Argall - od czasu, kiedy tak dzielnie służyłaś pomocą naszym ludziom w Jamestown. - Zaczął wymieniać ludzi, którzy pamiętali oddawane przez nią przysługi.

Nagle Pocahontas poczuła ruch, który ją przeraził. To nie było delikatne kołysanie, jakie pamiętała ze statku kapitana Newporta. Nie - płynęli!

Podbiegła do małego okienka w kajucie. Tak, wioska i nabrzeże oddalały się. - Dokąd płyniemy?

- wykrzyknęła.

- Pocahontas, muszę cię zabrać do Jamestown - oświadczył kapitan Argall. - Ale nie potrzebujesz się mnie bać. Nie będę cię traktować jak więźnia, lecz jak honorowego gościa.

Zawołała: - Jopassus!

- Nie może cię usłyszeć - powiedział kapitan. - Wraz z żoną wrócili do wioski. To oni zgodzili się oddać cię pod moją pieczę.

Pocahontas usiłowała zrozumieć. - Ale dlaczego?

Dlaczego mnie zdradzili?

- Kupiłem ich pomoc - odparł kapitan. - Za miedziany czajnik.

- Nie! - wykrzyknęła z niedowierzaniem Pocahontas.

Kapitan Argall skierował się ku wyjściu. - Wróć za chwilę z jedzeniem. - Zamknął za sobą drzwi.

Pocahontas raz jeszcze spojrzała przez okno. Wioska szybko oddalała się i malała.

Wtedy jej oczy napotkały jasny punkt na brzegu. Przyjrzała się uważniej. To był Kint! A za nim, usiłując go utrzymać, stał Henry. Przynajmniej przyjaciel widział, co się stało.

Wkrótce kapitan Argall wrócił z chlebem i owocami, ale nie chciała nic jeść.

- Proszę, księżniczko - zachęcał. - Nie chcę wyrządzić ci krzywdy. Proszę, jedz!

- Skąd mam wiedzieć, że nie chcesz zrobić mi nic złego? Co się ze mną stanie?

- Pocahontas, naprawdę nie masz się czego obawiać. W Jamestown spotkasz się z gubernatorem, a potem zawieziemy cię niedaleko stamtąd, do miejsca zwanego Henrico.

Zostaniesz tam na farmie pod opieką dobrego człowieka, Wielebnego Whitakera i jego żony. Są mili i łagodni.

Będziesz mieć wszystko, czego zapragniesz.

- Ale wszystko, czego potrzebuję mam już w Potomac - odpowiedziała. - Dlaczego więc zabieracie mnie gdzieś indziej?

Co chcecie zrobić?

- Staramy się wprowadzić pokój. Zbyt długo Algonkinowie prowadzili z nami wojnę.

Przerwała mu. - A czego możecie oczekiwać? Wyrzucacie ludzi z ich ziemi!

- Przepędzamy ich, ponieważ się ich boimy - odpowiedział. - Ale tak być nie musi. Zbyt wiele strat poniosły obie strony.

Wziąłem cię do niewoli w nadziei, że twój ojciec uwolni angielskich więźniów, których przetrzymuje, oraz że zwróci skradzione strzelby. Musi nas usłuchać, skoro mamy jego ulubioną córkę.

- Gubernator Jamestown i ja zgodziliśmy się na ten plan, żeby spróbować doprowadzić do pokoju. Nigdy nie chcieliśmy wojny. Jak sama wiesz, pokój był zawsze prawdziwym pragnieniem naszego narodu, cofając się w czasie aż do początku, do dni twego przyjaciela, kapitana Smitha.

Na dźwięk imienia Starszego Brata Pocahontas nie mogła powstrzymać pytania. - Jakie są wieści o moim przyjacielu?

Kapitan Argall milczał przez chwilę, zanim odpowiedział. - Niektórzy mówią, że z Anglii przyszła wiadomość o jego śmierci, ale myślę, że są to tylko pogłoski. Może nie być w tym prawdy. Po prostu nie wiem.

Pocahontas, bardzo proszę, zjedz coś.

Nie odpowiedziała. Kapitan opuścił kajutę. Pocahontas poczuła jak ogarnia ją ciemność i upadła na podłogę.

Kiedy zbliżali się do Jamestown pozwolono jej wyjść na pokład. Zaskoczył ją widok tłumu ludzi zgromadzonych na brzegu rzeki. Słyszała okrzyki: - Niech Bóg błogosławi księżniczkę!

Niech żyje Pocahontas!

- Widzisz, kochają cię tutaj - odezwał się kapitan Argall. - Wszyscy znają twoją życzliwość i dobre serce.

Po zejściu na ląd w nowym porcie w Jamestown przeprowadzono ją przez wiwatujący tłum i zaprowadzono do największego budynku w osadzie.

Był tam człowiek, którego nazywano gubernatorem, oraz inni przywódcy Jamestown. Prawie wszystkie twarze były jej nie znane.

- Księżniczko Pocahontas - powiedział gubernator. - Wysłaliśmy już do wodza Powhatana wiadomość o twoim pobycie u nas. Zażądaliśmy, aby zwrócił nam ludzi, których pojmał, oraz skradzione strzelby i amunicję. Poprosiliśmy również o zawarcie pokoju pomiędzy naszymi narodami. Mamy nadzieję, że twój ojciec z miłości do swej córki, a także z pragnienia pokoju, przystanie na nasze żądania.

Gubernator i inne osoby w pokoju przyglądały się Pocahontas, oczekując odpowiedzi.

- Jestem pewna, że mój ojciec dokładnie rozważy wasze słowa - powiedziała. - Nikt jednak nie może niczego żądać od wielkiego Powhatana. Zrobi to, co sam będzie chciał.

Rozdział 16

Gotowość

16. Gotowość

Powhatan nie odpowiadał na żądania Anglików i dni w Henrico mijały Pocahontas bardzo powoli.

W międzyczasie zadomowiła się u Wielebnego Whitakera i jego żony. Rzeczywiście byli to ludzie łagodni i mądrzy.

Wielebny Whitaker przypominał jej Wielebnego Hunta i jego nie dokończoną historię, którą zaczął jej opowiadać, zanim umarł - opowieść o Jezusie, Synu Boga-Stwórcy.

To dobroć Whitakerów zatrzymywała Pocahontas w Henrico. Przekonała się już, że bardzo łatwo mogłaby się wymknąć. Była pewna, iż w nocy potrafiłaby przekraść się obok angielskich żołnierzy rozstawionych wokół farmy i wrócić do Potomac.

Dom Whitakerów był najwspanialszym, jaki kiedykolwiek widziała. Zbudowano go z kamieni nazywanych ceglami.

Wewnątrz znajdowały się przedmioty, których Pocahontas nigdy nie widziała w prostych i ubogich domach wczesnych dni Jamestown. W pomieszczeniu zwanym kuchnią pani Whitaker pokazywała Pocahontas jak gotuje i szyje, a ona jej pomagała.

Zdumiewały ją maleńkie metalowe igły, których używała pani Whitaker.

Pewnego ranka - a było to szóstego dnia po przybyciu do Henrico - Pocahontas siedziała w kuchni i ćwiczyła szycie na kawałku materiału. Do pokoju weszła pani Whitaker i powiedziała: - Pocahontas, moja droga, przy drzwiach ktoś na ciebie czeka.

Dziewczynka odłożyła igłę, nitkę i materiał, i przeszła przez dom. W otwartych drzwiach stał Parahunt.

Podbiegła, żeby go ucałować.

- Dobrze wyglądasz, mała siostrzyczko - powiedział.

Zdawał się być tym zdziwiony.

- Tak - upewniła go. - I czuję się dobrze.

Parahunt odsunął ją na odległość wyciągniętych rąk, opierając dłonie na jej ramionach. - Przyszedłem przekazać ci odpowiedź ojca dla Anglików. Gонец właśnie podąża do Jamestown z wiadomością do białego wodza. Ja chciałem jednak powiedzieć ci to sam.

Ojciec uwolnił jeńców Brodaczy, których trzymał w Rassa-wack, i teraz kładzie kres wszelkim walkom.

Pocahontas zamknęła oczy i zaniósła w duchu modlitwę dziękczynną do Boga-Stwórcy.

Parahunt ciągnął: - Jak się domyślasz, trudno było ojcu zwolnić więźniów. I odmówił zupełnie spełnienia drugiego żądania, nie odeśle żadnej broni.

Muszę ci jednak powiedzieć, mała siostrzyczko, że ojca boli serce z twojego powodu. Kiedy przybył gонец z wiadomością o twoim pojmaniu, zasmucił się.

Został w "długim domu" i przez trzy dni nie odezwał się ani słowem. Wuj Opech chciał zwołać wszystkich wojowników i zniszczyć Jamestown, ale Powhatan bał się, że głupi Brodacz mogliby w panice wyrządzić ci krzywdę.

Parahunt ujął jej ręce w swoje. - Ojciec chciał, bym ci powiedział, że mimo jego starości wciąż jesteś jego Pocahontas. Nadal jesteś jego ulubioną córką, i pragnie upewnić się, że nie grozi ci żadne niebezpieczeństwo.

Pocahontas poczuła płynące łzy. - Przekaż ojcu, że jestem naprawdę bezpieczna. Powiedz mu, bracie, że widziałeś to na własne oczy.

- Kiedy się dowie, że nic ci nie grozi - odparł Parahunt - to walki ustaną na jakiś czas.

Ojciec będzie po prostu czekać na Anglików.

- Jeżeli to prawda - odpowiedziała Pocahontas - to może lepiej, bym była tutaj niż gdziekolwiek indziej.

Patrzyła ze smutkiem, jak Parahunt odchodzi. Powiedziała sobie: "Jeśli ojciec może zaczekać, to i ja mogę."

Whitakerowie mieli mały stolik używany tylko do pisania.

Pozwalali Pocahontas siedzieć przy nim, kiedy tylko chciała, dawali jej też atrament i papier. Miała nawet własne pióro. Nauczyła się kreślić angielskie litery, które Starszy Brat pokazał jej przed laty.

- Białe Pióro to moje duchowe imię - powiedziała pewnego dnia Wielebnemu Whitakerowi, kiedy kaligrafowała piórem cały alfabet. - Mam też inne imiona.

- Wielebny Whitaker pokazał jej, jak napisać każde z jej imion i wychwalał ją, że tak szybko się uczy.

- Kiedyś mama mawiała, że mój umysł jest jak duży, doskonale upleciony koszyk, zatrzymuje wszystko, co się do niego włoży - powiedziała Pocahontas.

Wieczorami, przy blasku świec Wielebny Whitaker czytał jej na głos Biblię. Codziennie go o to prosiła i każdej nocy, po wielu godzinach czytania Wielebny Whitaker mówił ziewając, że po prostu musi się już położyć do łóżka i obiecywał, że następnego dnia znów zacznie czytać tam, gdzie skończył.

Wielebny Whitaker nauczył ją modlitwy do Boga-Stwórcy w niebie. Zaczynała się od nazwania Boga "Naszym Ojcem".

Pocahontas przepadała za tą modlitwą, bo nigdy przedtem nie myślała o Bogu jak o swoim Ojcu.

Wielebny Whitaker powiedział, że ta modlitwa jest zapisana w Biblii i że pochodzi od Jezusa, Bożego Syna, który pozwala nam poznać Boga jako naszego Ojca.

Szybko też nauczyła się tego, co Wielebny Whitaker nazywał Credo. Zaczynało się od "Wierzę w Boga Ojca Wszechmogącego, Stworzyciela nieba i ziemi, i w Jezusa Chrystusa, Syna Jego Jedynego, Pana naszego..." Credo głosiło dalej, że Jezus umarł i powstał z martwych trzeciego dnia. - Więc to jest - pomyślała Pocahontas - dalszy ciąg historii, której Wielebny Hunt nie zdążył mi opowiedzieć do końca.

Zaczęła zadawać Wielebnemu Whitakerowi wszystkie pytania, które chciała zadać Wielebnemu HUntowi i na które dotąd nie mogła znaleźć odpowiedzi.

Pani Whitaker dała Pocahontas suknie. Z początku przeszkadzało jej, że robią tyle hałasu, niezależnie od tego jak cicho starała się chodzić. - Te stroje mają szeleścić - wyjaśniła pani Whitaker. - Ten szelest mówi wszystkim, że do pokoju weszła dama.

Pewnego dnia Pocahontas stała przed lustrem, które wisiało w pobliżu drzwi wejściowych.

Przyglądała się swemu odbiciu.

Była drobna i szczupła. Piękna błękitna suknia mocno opinała jej wąską kibić. Miała czarne włosy, błyszczące i proste, opadające na plecy, lecz przycięte krótko po bokach i nad czołem, zgodnie ze zwyczajem niezamężnych dziewcząt Algonkinów. Ciemne oczy przy złotej cerze przypominały oczy łani.

Nagle wzdrygnęła się na głośnie pukanie do drzwi.

Usłyszała, jak pani Whitaker woła z wnętrza domu: - Zobacz, proszę, kto to jest, Pocahontas.

Nacisnęła klamkę i otworzyła drzwi.

Na progu stał wysoki mężczyzna. Zobaczywszy ją, uśmiechnął się i zdjął swój czarny angielski kapelusz. Miał brązowe włosy poprządkane złotem. Jego skóra miała prawie taki sam odcień jak jej. Widać było, że spędzał wiele czasu na słońcu. Wejrzenie jego jasnoszarych oczu wskazywało na człowieka miłego i uczciwego.

- Nazywam się John Rolfe - przedstawił się. - Ty z pewnością jesteś księżniczką Pocahontas. To zaszczyt dla mnie poznać cię. - Ukłonił się i stał w ciszy. Wiedziała, że czeka na jej odpowiedź, ale w głowie miała pustkę. Co powinna powiedzieć?

- Pocahontas, słyszałem o twojej mądrości i wiedzy - podjął w końcu - i przybyłem do ciebie z Jamestown po radę.

Chciałbym poznać najlepsze sposoby uprawy roli w tej krainie. Wiem, że ty i twój naród wiecie tak dużo o...

- Pocahontas! - To był głos pani Whitaker za nią. Odwróciła się.

- Pocahontas, moje dziecko - powiedziała pani Whitaker - nie zaprosisz pana Rolfe'a do środka?

Teraz Pocahontas przypomniała sobie, co należy powiedzieć gościowi, który stoi u drzwi.

- Och, nic nie szkodzi, pani Whitaker - szybko wtrącił pan Rolfe. - Właśnie miałem zapytać księżniczkę, czy mógłbym ją zabrać na krótki spacer do ogrodu i na pobliskie pola, żeby zapytać ją o lepsze sposoby uprawiania płodów rolnych.

- Jestem pewna, że księżniczka byłaby zadowolona - powiedziała pani Whitaker. Wzięła miękki szal z wieszaka przy drzwiach i zarzuciła go Pocahontas na ramiona. Pan Rolfe wyciągnął ramię w jej kierunku i Pocahontas wsunęła pod nie swoją dłoń. Kiedy odchodzili, obejrzała się i zobaczyła, że pani Whitaker przygląda się im z uśmiechem.

Resztę popołudnia spędzili razem na polach i w lesie.

Pocahontas szybko odzyskała swą zdolność mówienia i chętnie odpowiadała na wszystkie pytania. Rozmawiając z panem Rolfem, zdała sobie sprawę jak wiele wie o wszystkim, co rosło wokół Chesapeake. Była wdzięczna Powhatanowi i braciom za to, czego ją nauczyli.

Ona również miała pytania do pana Rolfe'a. - Z jakiego powodu moda angielska każe szyć tak szerokie suknie? - zapytała.

- Bez żadnego powodu - odpowiedział pan Rolfe. - To głupia moda. - Obydwoje się roześmiali.

Wspomniała, że widziała kilku Anglików z dziwnymi piórami przy kapeluszach.

- Ach, tak - powiedział. - To strusie pióra.

- Co to za ptak, struś? Jak on wygląda?

Narysował obrazek patykiem na ziemi.

Zapytała: - Czy nie potrafisz dobrze rysować, czy też struś rzeczywiście wygląda tak dziwnie?

- Jedno i drugie - odpowiedział i znów oboje parsknęli śmiechem.

Opowiadał jej śmieszne historie ze swego dzieciństwa. O tym, jak kiedyś ukrył małego liska w pudełku w swoim pokoju, żeby go uratować przed psami myśliwskimi i jak jego mama zemdląca ze strachu na widok zwierzątka.

Pocahontas odwzajemniła mu się opowieścią o Małej Wydrze.

W pewnym momencie zapytała dlaczego on, John Rolfe przyjechał do tej krainy, tak daleko od Anglii. Wyznał, że wierzy, iż Bóg tego chciał.

Powiedział, że kiedy po raz pierwszy płynęli przez ocean z żoną i ich nowo narodzonym synkiem, statek rozbił się podczas burzy i jego rodzina zginęła. Mimo wielkiego smutku, zwierzał się, nie stracił zaufania do Boga.

Pokazał jej małą Biblię, którą zawsze nosił przy sobie w kieszeni i książeczkę nazywaną modlitewnikiem. Popołudnie szybko się skończyło. Ponieważ Pocahontas uczyła się czytać, John Rolfe obiecał jej na pożegnanie pozwolić poczytać z modlitewnika, kiedy znów przyjdzie do Henrico.

Kiedy letnie dni ustępowały jesieni, jeszcze jeden Brodacz pojawił się w życiu księżniczki.

Był to Hiszpan, pierwszy Hiszpan, jakiego poznała Pocahontas. Powiedział, że jego statek rozbił się podczas burzy w Chesapeake. Z całej załogi uratował się tylko on. Anglicy znaleźli go włóczącego się w pobliżu Jamestown. Gubernator poprosił Whitakerów, by pozwolili mu zatrzymać się na jakiś czas w ich dużym domu.

Nazywał się Don Pablo i Pocahontas nie lubiła go. Jego oczy wciąż śledziły każdy ruch jej i pani Whitaker. Dziewczyna zastanawiała się, czy nie jest szpiegiem.

Któregoś wieczoru Wielebny Whitaker omawiał z Pocahontas jedną z biblijnych historii i cierpliwie odpowiadał na jej pytania. Don Pablo siedział w kącie pokoju i przysłuchiwał się. Nagle palnął: - Wy, Anglicy, jesteście dziwakami!

Spędzacie tyle czasu i robicie tyle zachodu, by z kogoś zrobić chrześcijanina. My Hiszpanie, ochrzciłibyśmy tę dziewczynę wiele tygodni temu!

- Chcę mieć pewność, że ona rozumie - odpowiedział uprzejmie Wielebny Whitaker. - Pragnę, żeby sama i z własnej woli dokonała wyboru.

John Rolfe często powracał do Henrico i za każdym razem Pocahontas cieszyła się na spacerach i rozmowy z nim. Pewnego chłodnego, pochmurnego popołudnia czytała na głos z jego modlitewnika. Umilkła na chwilę po przeczytaniu zdania: „Wyrzekamy się diabła i wszelkich spraw jego”.

- Pocahontas, czy rozumiesz te słowa? - zapytał pan Rolfe, kiedy patrzyła, jak północny wiatr targa jego brązowozłote włosy.

- O, tak - odpowiedziała. - Myślę, że rozumiem je lepiej niż jakikolwiek Anglik.

Jego oczy zdradzały zdziwienie.

Pocahontas ciągnęła: - Sądzę, że widziałam diabła i jego dzieła w sposób, w jaki wy nie widzieliście. - Nigdy z żadnym białym nie rozmawiała o Tajemnym Kulcie i krwawych ofiarach, jakich żądał Okewas. Teraz jednak, cała we łzach zwierzyła się Johnowi Rolfe'owi ze wszystkiego co widziała i słyszała. Wyznała, jak dotąd tęskni za swoim przyjacielem z dzieciństwa, Lominasem-którego-już-nie-ma.

Na koniec swej długiej historii powiedziała: - Jest jeszcze coś, co myślę, że rozumiem i kocham bardziej niż Anglicy. To prawda, że Jezus zmarł na krzyżu, byśmy sami nie musieli składać żadnych krwawych ofiar. - John Rolfe przytaknął.

Powiedział, że jego przodkowie zza oceanu także ponosili winę za ofiary z dzieci w czasach, kiedy nie znali Jezusa.

- Teraz wiem - ciągnęła Pocahontas - że Jezus jest doskonałą krwawą ofiarą i jedyną ofiarą prawdziwą. Dlatego diabeł Okewas nie ma prawa żądać żadnej ofiary od nas.

Tego dnia po ich rozmowie Pocahontas wróciła do domu i zapytała Wielebnego Whitakera: - Proszę pana, czy uważa pan, że jestem gotowa, by przyjąć chrzest?

Stał i otoczył ją ramionami. - Tak, moje dziecko - odpowiedział. - Jesteś gotowa.

Rozdział 17

Otwarte drzwi

17. Otwarte drzwi

W zimowy mroźny poranek, w porze roku zwanej przez Anglików lutym, Pocahontas została ochrzczona w kościele w Jamestown. Przyjęła nowe, chrześcijańskie imię Rebeka.

Biblijna historia o Rebecce należała do jej ulubionych, ponieważ Rebeka była odważna i wybrała się w daleką podróż, by znaleźć i męża, i swoje zawierzenie Bogu.

John Rolfe i Whitakerowie stali przy niej w dniu chrztu. W następnym tygodniu Pan Rolfe znów przyjechał do Henrico na spacer z Pocahontas.

- Zastanawiałem się, co powie twój lud, jeśli wrócisz do nich jako chrześcijanka? Co się z tobą stanie?

- Mam nadzieję, że nadal mogę zostać szamanką wioski, tak jak zamierzał mój ojciec. Mogę ukazać ludziom prawdę, jaką poznałam o Bożym Duchu i Synu Bożym.

- Jak jednak możesz sama przeciwstawić się wszystkim szamanom, którzy służą Okewasowi? Czy nie grozi ci niebezpieczeństwo?

- Nie wiem - odpowiedziała miękko.

Przestali spacerować i popatrzyli sobie w oczy. Wziął jej ręce w swoje. - A gdybyś nie wróciła? - zapytał. - A gdybyś została tu na zawsze, ze mną?

Pocahontas nie potrafiła znaleźć właściwych słów odpowiedzi.

John Rolfe wyjął z kieszeni złożoną kartkę papieru i powiedział: - Pozwól, że przeczytam ci to, co o tobie napisałem w liście do gubernatora: "Moje najlepsze myśli i nadzieje są związane z Pocahontas i za Pańskim mądrym przyzwoleniem poproszę ją, by została moją żoną. Okazała się tak silna w swojej wierze. Ufam, że Bóg, który nigdy nas nie zawodzi, otwiera te drzwi zarówno dla jej szczęścia, jak i mojego."

Złożył kartkę i wsunął z powrotem do kieszeni. - Pocahontas, nie napisałbym tego listu, gdybym nie wierzył, że zależy ci na mnie tak samo jak mnie na tobie.

Wreszcie zdołała przemówić. - To prawda, bardzo mi na tobie zależy.

Upadł przed nią na kolana. Po raz pierwszy w życiu Pocahontas ujrzała mężczyznę klęczącego przed kobietą.

Jego głos był teraz cichym szeptem. - Czy w takim razie, moja droga, zostaniesz moją żoną?

Pocahontas również uklękła. - Tak, Johnie Rolfe, tak.

Kilka tygodni później, piątego dnia pory zwanej przez Anglików kwietniem, ogłoszono święto dla wszystkich w krainie Chesapeake.

Był to dzień ślubu księżniczki Rebeki Matoaki Pocahontas, córki Powhatan, wielkiego króla całego Chesapeake.

Stary wódz Powhatan nie przybył do Jamestown na uroczystość. Udzielił jednak córce swego błogosławieństwa i w prezencie ślubnym przesłał naszyjnik z doskonale dobranych pereł. Wysłał Parahunta, by zajął jego miejsce i oddał rękę Pocahontas Anglikowi Johnowi Rolfe'owi. Parahunt miał na sobie skórzane spodnie i marynarkę z białymi frędzlami.

Wokół kościoła stu pięćdziesięciu pomalowanych wojowników w pióropuszcach na głowach stało w uroczystym kręgu.

Pocahontas założyła perły od Powhatan, opaskę na włosy zrobioną przez Halewę i koronkową białą suknię uszytą przez panią Whitaker. Miała bukiet z polnych kwiatów, które sama zebrała tego ranka.

Po uroczystości odbyła się uczta. Algonkinowie i Anglicy zasiedli wspólnie do stołu i jedli najlepsze potrawy pochodzące z morza, lasu i pól.

Potem dumny czarny koń pociągnął powóz, który uniósł młodą parę do domu na pobliskim wzgórzu.

John Rolfe wybudował ten dom dla swojej wybranki.

Pomiędzy Algonkinami i Anglikami rozpoczął się nowy czas pokoju.

Rok później Pocahontas szła leśnym szlakiem w swojej sukni z jeleniej skóry. W zawiniątku na plecach niosła swego małego synka Thomasa. Szli z wizytą do jego dziadka, którego dziewczyna nie widziała przez prawie sześć lat.

Kiedy dotarli do wioski Rassa-wack, Pocahontas ostrożnie zdjęła zawiniątko z pleców i odwinęła Thomasa z futrzanych i skórkowych okryć. Wzięła dziecko na ręce i weszła do "długiego domu".

Była przygotowana na stary wygląd ojca, a jednak gdy ujrzała jego głęboko pooraną twarz, jej oczy zaszyły mgłą smutku.

Siedząc na swym pokrytym skórą tronie, Powhatan wyciągnął rękę. Podała mu dziecko, a on przytulił je do piersi.

- To niemowlę jest przepiękne - oznajmił wielki wódz. - Doskonałe dziecko. I musi nosić królewskie imię. Nazwę go Pepsi-canow - Potężne Wody.

Pocahontas uklękła i położyła głowę na kolanach ojca. Poczowała dotyk jego ręki głaszczącej ją po włosach.

Kiedy spojrzała na niego, otworzył przed nią swe serce, rozmawiając z nią tak jak kiedyś, przed wielu laty.

- Czy to dobrze, moje dziecko, mieszać krew angielską z krwią Algonkinów? Czy nie przypomina to spotkania dwóch rodzajów wód, słonej z oceanu i słodkiej wody z rzeki?

Odpowiedziała z delikatnością.

- Nie, mój ojciec, to jest raczej jak spotkanie dwóch wielkich rzek, które łączą się, dając początek nowej. Ta połączona staje się znacznie większa i potężniejsza.

Pocahontas nie uszła jeszcze daleko w swej powrotnej drodze z Rassa-wack do domu, kiedy usłyszała głośny szelest na porośniętym drzewami zboczu wzgórza opadającego ze szlaku.

Zatrzymała się i wpatrywała w drzewa. Nie brzmiało to jak głos zwierzęcia.

Pierwsza myśl napęliła ją drzeniem strachu: pamiętała wciąż starego szamana i dwóch kapłanów wymachujących tomahawkami w dniu, kiedy szli z trzema białymi chłopcami do Potomac. Wtedy po raz ostatni widziała Quiyowa. Była teraz, dzięki zaufaniu Jezusowi, nową i silniejszą osobą, jednak wciąż bała się spotkania raz jeszcze oko w oko z szamanem.

Na wzgórzu zaległa cisza i Pocahontas nic nie zobaczyła pomiędzy drzewami. Sięgnęła za siebie, by się upewnić, że tobolek z Thomasem jest wystarczająco mocno przywiązany.

Potem odwróciła się i poszła dalej pewnym krokiem, nie oglądając się za siebie.

Rozdział 18

Królewskie pożegnanie

18. Królewskie pożegnanie

Minął kolejny rok pokoju między Algonkinami i Anglikami.

Przyjęło się nawet określenie „pokoju Pocahontas”.

Nadszedł dzień, kiedy Pocahontas i John stali na zatłoczonym nabrzeżu portowym w Jamestown. Na rzece cumował się trójmasztowiec ”Treasurer” (skarbnik), który miał popłynąć do Anglii. Roczny Thomas stał pomiędzy rodzicami na chwiejnych nóżkach trzymając się spódnicy matki.

Rodzina znalazła się w grupie Algonkinów i Anglików - z krainy Chesapeake, którzy zostali zaproszeni do Anglii przez ważne osobistości. Większość pasażerów była już na pokładzie - włączając Remcoe'a i Kahnessę, i starego przyjaciela Percy'ego, i gubernatora, a nawet kapitana Argalla.

Powhatan wysłał Tomo-come, jednego ze swych starszych wojowników w Rassawack.

Tomo-come stał na skraju doku, opierając się na kiju. Był to kij do liczenia. Wódz przykazał swemu wojownikowi, by robił na nim nacięcie po każdym dziesięciu osobach, jakie zobaczy po przybiciu statku do Londynu. W ten sposób Powhatan miał otrzymać ”wiarygodny raport” o liczbie ludności mieszkającej w Anglii.

Pocahontas pragnęła, aby Tomo-come nie płynął z nimi.

Należał bowiem do wiernych czcicieli Okewasa. Nawet dzisiaj był cały pomalowany na czarno i na plecach miał szarą wilczą skórę. Głowa wilka wieńczyła jego długie włosy, a w uszach wisiały żywe węże.

Nagle Pocahontas ze strachem wciągnęła powietrze. Za Tomo-come po nabrzeżu wprost do Pocahontas szedł stary Quiyow.

Maszerował. Zatrzymał się i całe tkwiące w nim zło skupił na niej.

- Przyszedłem przekląć twoją podróż - warknął. - Moc Okewasa ściągnie ten statek na dno Wielkiego Szarego Oceanu.

Przyrzekam ci, Matoaka, że nigdy nie dotrzesz do ziemi Tassen-tassees.

John Rolfe otoczył Pocahontas ramionami. Wiedziała, że nie rozumiał słów szamana Algonkinów, ale musiał domyślić się ich znaczenia. Mały Thomas zaczął płakać, więc Pocahontas - pochyliła się i wzięła go na ręce.

Quiyow zawodził i syczał, aż w końcu odszedł.

- Nie bój się, Pocahontas - powiedział do niej John, nadal ją przytulając. - Bóg jest z tobą i ze mną, i z naszym małym Thomasem. Jesteśmy w jego rękach, a on jest znacznie potężniejszy od złego.

Kilka chwil później znaleźli się na pokładzie statku.

Pocahontas powróciła odwaga dzięki sile wiary męża. Usunęła ze swojego umysłu i pamięci wspomnienie Quiyowa i pozwoliło jej to umocnić się w swojej wierze i zaufaniu do Boga.

- Jesteśmy w jego rękach - powtórzyła do siebie.

Bryza stawała się silniejsza.

Pocahontas zobaczyła ponad sobą wielkie białe żagle opadające w dół i napelniające się wiatrem, i znów pomyślała o gigantycznych łabędziach.

- Odcumować! - krzyczeli marynarze na pokładzie. - Odbijamy!

„Treasurer” oddalał się od Jamestown. Już po kilku chwilach pędzili z wiatrem. Ta prędkość odebrała Pocahontas oddech, kiedy stała przy nadburciu, nie odstępując Johna i Thomasa.

Wkrótce okrążyli cypel, który zasłonił im widok Jamestown.

Statek zaczął pruć wody Chesapeake, wielkiej zatoki, która niosła do morza wody wszystkich rzek tej krainy.

W oddali Pocahontas ujrzała niesamowity widok.

Z północy w dół rzeki płynęła wielka łódź z wydrążonego pnia z czterdziestoma wiosłarzami - królewskie czółno Powhatan!

Otaczało je wiele mniejszych czółen. Wszyscy Algonkinowie we wszystkich łodziach byli pomalowani i mieli odświętne barwy i pióropusze.

Ponad falami skropionymi słońcem rozległa się plemienna pieśń wiosłowania i bicie w bębny.

Potężny Powhatan stał w tyle swej długiej łodzi na szeroko rozstawionych nogach. Wysoko ponad głową powoli wymachiwał berłem z orlich piór w królewskim pożegnaniu swojej córki-księżniczki.

Wszyscy pasażerowie statku zbiegli się na jedną stronę, by przy boku Pocahontas cieszyć się tym niezwykłym pozdrowieniem.

Pocahontas wciąż machała w odpowiedzi i nie spuszczała wzroku z łodzi ojca. Wkrótce stała się ona jedynie paskiem na horyzoncie, ale wciąż widoczne było uniesione, falujące berło.

W końcu i ono znikło z pola widzenia.

Księżniczka po raz ostatni pomachała na pożegnanie.

Z pierwszym blaskiem następnego poranka Pocahontas pospieszyła na pokład, by znów poczuć słoną mgłę na twarzy i siłę morskiego wiatru. Wkrótce John dołączył do niej. Ujrzeni niedaleko wieloryby wynurzające się na powierzchnię i Pocahontas opowiedziała mężowi, jak jej bracia na nie polowali.

- Skoro zawsze byłaś żądna przygód - zapytał John - to czy chciałaś popłynąć z nimi?

- Wiedziałałam, że polowania na wieloryby są zbyt niebezpieczne - odpowiedziała. - Ale raz ukryłam się w czóźnie Parahunta i próbowałam wyruszyć z braćmi na ich pierwszą wyprawę zwiadowczą do Jamestown.

Niestety, złapali mnie i odesłali z powrotem do domu.

Myślałam, że już nigdy w życiu nie uda mi się wyruszyć na poszukiwanie przygód. A teraz, popatrz, gdzie jestem!

Kilka tygodni później kołysząc Thomasa w swojej kajucie pod pokładem Pocahontas usłyszała dzwon okrętowy i okrzyk: - Łąd, ahój!

Zadudniły stopy pasażerów wybiegających z kabin.

Pocahontas zawinęła synka w koc i podążyła za nimi na pokład.

Tam przywitał ją podnieconym uśmiechem John. Pociągnął ją do nadburcia i wskazał szarą linię na horyzoncie. To była Anglia.

- Kapitan mówi, że to najkrótsza ze wszystkich jego podróży morskich na tej trasie - powiedział John.

Tomo-cómo stał w pobliżu. Węże w jego uszach nie przeżyły morskiej podróży. Pocahontas patrzyła, jak wyciągał martwe, uschnięte gady i wyrzucał je za burtę. Odpłynęły niesione falami, zostając w tyle za pędzącym statkiem.

Epilog

Treasurer dotarł do Anglii późną wiosną 1616 roku.

Tomo-cómo wyrzucił swój kij do liczenia zaraz po tym, gdy jego oczy po raz pierwszy spojrzwały na zatłoczone ulice Londynu.

Księżniczka Pocahontas - znana również jako Lady Rebeka Rolfe - została przedstawiona wielu najbardziej sławnym wówczas w Anglii ludziom. Widziała sztukę Williama Szekspira w teatrze Globe Theatre, spędziła dzień w Parlamencie.

Została także przedstawiona królowej Anne, żonie króla Jamesa. Kiedy Pocahontas składała grzecznościowy ukłon, królowa wstała i również skłoniła głowę. - Obie mamy w sobie królewską krew, moje dziecko - powiedziała. Później Pocahontas poznała też króla Jamesa.

Pocahontas dowiedziała się, że John Smith żyje. Napisał do królowej Anne list o tym, jak Pocahontas uratowała życie jemu i wielu innym ludziom w Jamestown. "Bez niej - pisał - wszystko by przepadło".

Przypomniał też, że Pocahontas była pierwszą chrześcijanką z jej wielkiego narodu.

Potem Pocahontas spotkała się z kapitanem Smithem. Powiedział jej, że zawsze miał nadzieję powrócić do Chesapeake.

Po kilku miesiącach pobytu w Anglii Pocahontas wraz z rodziną zamierzała powrócić do domu.

Niestety, księżniczka rozchorowała się na gruźlicę.

Zmarła w marcu 1617 roku, w wieku dwudziestu lat i została pochowana w Anglii.

Kiedy John Smith dowiedział się o jej śmierci, napisał takie oto słowa: "Kiedy myślimy o tych wszystkich dobrych rzeczach, jakich dokonała młoda księżniczka, nie tylko dla mnie, aale dla swojego narodu i wszystkich, o których dbała w Jamestown, możemy powiedzieć tylko jedno: To z pewnością Bóg stworzył Pocahontas."

Nota historyczna

Zapisy historyczne malują taki oto obraz prawdziwej Pocahontas:

Urodziła się w 1597 roku w wiosce wodza Powhatan Werowocomoco (w książce zwanej w skrócie Comoco). Wiemy, że miała zaledwie około dziesięciu lat, kiedy powstrzymała swój naród od skazania na śmierć angielskiego kapitana Johna Smitha. Wiemy też, że później angielscy osadnicy z Jamestown często widywali ją wywijającą gwiazdy.

Była drobna, szybka i urocza.

Wiemy też sporo o jej ojcu, Powhatanie i jego licznej rodzinie. Pocahontas była jego ulubioną córką. Tatacoope i Parahunt to prawdziwe imiona dwóch spośród wielu jej braci.

Wiemy też trochę o jej siostrach.

Plemię czciło Boga Wojny, Okewasa. Wiemy, że stary Quiyowhasuck (w książce Quiyow), kapłan Okewasa, nosił kolczyki z żywych węży oraz że trwał konflikt pomiędzy nim i Pocahontas. Wiemy także, iż ofiary z ludzi dla Okewasa można by liczyć w setkach.

Pocahontas przebywała w Jamestown, kiedy Ratcliffe fałszywie oskarżył kapitana Smitha oraz kiedy statek Newporta przybył z Anglii. Znamy nazwiska niektórych mężczyzn, których Pocahontas ostrzegła w „noc grozy” oraz imiona trzech angielskich chłopców, których próbowała uratować.

Z wielu listów i pamiętników możemy się dowiedzieć o jej pobycie w Henrico z Wielebnym Whitakerem i jego żoną, o jej romantycznej historii i małżeństwie z Johnem Rolfem oraz narodzinach ich syna Thomasa.

Nawet Hiszpan z Henrico jest postacią prawdziwą, szpiegiem. W listach do swego króla pisał:

„Angielski pastor bardzo powoli nawraca indiańską księżniczkę, upewniając się, że wiara jest jej własną - tak inaczej niż my, Hiszpanie, którzy już dawno byśmy ją ochrzcili!”

Wiemy również dużo o jej czasie spędzonym w Anglii - nawet o balach, na których była i domach, w których była goszczona. Poznała poetę i dramaturga Bena Johnsona oraz badacza Waltera Raleigha. Wiemy, że wywarła ogromne wrażenie na angielskiej rodzinie królewskiej.

Wiemy też o „wspaniałym wyznaniu wiary”, jakie złożyła, kiedy leżała umierająca w Gravesend, w Anglii. Ostatnie jej słowa dotyczyły niezachwianej pewności

zmarłych. Powiedziała też, że pragnie, by jej mały synek Thomas został wychowany przez rodziców jej męża w Anglii i by pewnego dnia mógł powrócić do Chesapeake jako wykształcony człowiek wiary i stać się błogosławieństwem zarówno dla Algonkinów jak i dla Anglików.

Do Czytelnika polskiego!

Pierwsza kolonia angielska w Ameryce Północnej została założona w Jamestown w roku 1607. W następnym roku do osady tej przybyli na statku "Mary and Margaret" pierwsi Polacy - wynajęci przez Kompanię Wirgińską wytapiacze szkła, smolarze i dziegciarze - między innymi: Stanisław Sadowski, Jan Bogdan, Zbigniew Stefański, Jan Mata. Produkty uruchomionej przez polskich rzemieślników huty szkła oraz wytwórni smoły, dziegciu i potażu były pierwszymi wyrobami przemysłowymi w Ameryce Północnej.

Nic jednak nie wiadomo o tym, czy księżniczka Pocahontas Polaków spotkała...